

**L
i
r
y
c
z
n
e**

**J
a
s
t
o**

**Miejska Biblioteka Publiczna w Jaśle
Jasło 2023**

**L
i
r
y
c
z
n
e
J
a
s
ł
o**

**Utwory laureatów
XXVIII
Ogólnopolskiego
Konkursu
Literackiej
Twórczości
Dzieci
i Młodzieży**

Wydawca:
Miejska Biblioteka Publiczna w Jaśle
www.mbp.jaslo.pl

Korekta: Dorota Woźnica
Katarzyna Koczwara
Anna Filip

Projekt okładki: Magdalena Chart

Druk: ATTYLA Władysław Kardasz, Jacek Kardasz Sp.j.

Copyright by Miejska Biblioteka Publiczna w Jaśle

ISBN 978-83-957913-6-9

spis treści

| | |
|-----------|---|
| 7 | Lirycznie, epicko, dramatycznie |
| 9 | Lista osób nagrodzonych |
| 14 | Kategoria I Szkoly podstawowe, klasy 4-6 |
| 46 | Kategoria II Szkoly podstawowe, klasy 7-8 |
| 86 | Kategoria III Szkoly ponadpodstawowe |

Lirycznie, epicko, dramatycznie

Ogólnopolski Konkurs Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży „Liryczne Jasło”, organizowany przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Jasle, wzbogacił się o kolejną, już XXVIII edycję. Oznacza to również, że na półce z antologiami pokonkursowymi pojawił się 28 tom, zawierający prace nagrodzone i wyróżnione. Tom, dodajmy, który nie tylko prezentuje ciekawe, dojrzałe, pomysłowe utwory młodych adeptów pióra, ale jest też, jak zresztą poprzednie tomy, dopieszczony edytorsko.

Niniejszą edycję OKLTDiM wyróżnia to, że organizatorzy poszerzyli formułę konkursu. Oprócz wierszy i opowiadań, czy też szerzej tekstów prozatorskich, uczestnicy mogli nadsyłać utwory dramatyczne w formule „jednoaktówek”. Początki bywają trudne, więc w bieżącej edycji dramat reprezentowany był 4 utworami. Czas pokaże, czy w kolejnych edycjach młodzi dramaturdzy będą mieli liczniejszą reprezentację.

Skoro jesteśmy przy statystyce, to warto wspomnieć, z kronikarskiego obowiązku, że w bieżącej edycji konkursu 207 autorów nadesłało 387 prac. Wśród nadesłanych tekstów było 242 wiersze, 141 opowiadań i 4 jednoaktówki, o których już wspominałem. To znacznie mniej niż w poprzednich edycjach, w których średnia oscylowała w okolicach 600 prac. Czy to oznacza, że spada zainteresowanie jasielskim konkursem wśród młodych autorów? A może to tylko wyjątek od reguły? A może jest i tak, że nastoletni adepci pióra przejęli się ideami, które proponuje Jacek Dukaj w głośnym esej „Po piśmie”, i zamierzają „stworzyć postpiśmienną powieść, literaturę przeżyć pozasłownych”? Kto wie, wszak inwencja młodych ludzi jest trudna do przewidzenia i okiełznania.

Gdy idzie o poziom i specyfikę XXVIII edycji konkursu, trudno powiedzieć coś, czego my, jurorzy, nie zauważalibyśmy od lat. A co widzimy? Przede wszystkim dobrą „średnią tekstową” nadsyłanych prac, na tle której utwory nagradzane i wyróżniane „robią różnicę”, mówiąc po sportowemu. Widać ją nie tylko w wysokiej

sprawności językowej, ale również w pomysłowych grach w tradycję literacką i konwencjami stylistycznymi. Piszący nie boją się sięgać, myślę tu głównie o prozie, po rozmaite formy narracyjne; od literatury popularnej poczynając (kryminał, horror, fantasy, baśń), poprzez różne odmiany literatury science-fiction, narracje intymistyczne (pamiętnik, dziennik), aż po prozę historyczną czy esej. Ta różnorodność świadczy nie tylko o inwencyjności autorów, ale również o ich zapleczu lekturowym, czytaniu.

Wróć jeszcze na chwilę do jednoaktówek. Mimo skromnej ilości, teksty dramatyczne zrobiły na jurorach spore wrażenie. Znalazły się tutaj utwory, które w sposób dojrzały intelektualnie i dramaturgicznie nawiązują do tragedii antycznej („Penteusz”), ale też przenikliwe i pogłębione ujęcia pokazujące rozzaczarowanie młodych ludzi światem oraz zagubienie w nim, a przy tym napisane dosadnym i drapieżnym młodzieżowym slangiem („Girls Chat”). Kto wie, czy w świecie wielogłosowym, a zarazem pełnym rozlicznych napięć, zwań, konfrontacji stanowisk i poglądów, właśnie teksty dramatyczne nie rejestrują najciekawiej dzisiejszej rzeczywistości.

Dodam tylko, że jury XXVIII edycji OKLTDiM „Liryczne Jasło” pracowało w składzie: Aleksandra Dacyl (polonistka, animatorka kultury), Mariusz Kalandyk (poeta, literaturoznawca, redaktor naczelny rzeszowskiego „Kwartalnika Edukacyjnego”), Grzegorz Kociuba (poeta, krytyk literacki, polonista – przewodniczący jury), Jan Tulik (poeta, prozaik, eseista, dramaturg).

Powtórzę raz jeszcze, że w bieżącej edycji konkursu zaprezentowały się wszystkie rodzaje literackie. Było więc nie tylko liryczne i epicko, ale także dramatycznie.

Grzegorz Kociuba

Lista osób nagrodzonych

Kategoria I

Szkoły podstawowe, klasy 4-6

Wiersze

1 miejsce

Nastolatka – Antonina Mrowiec, kl. 6 Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12 w Stalowej Woli – *cykl wierszy*

2 miejsce

Człowiek kultury – Tomasz Krzyżanowski, kl. 5 Szkoła Podstawowa nr 34 w Krakowie – *cykl wierszy*

3 miejsce

Ig – Ignacy Urbański, kl. 6 Szkoła Podstawowa nr 7 w Łodzi – *cykl wierszy*

Wyróżnienia

Krito – Kornel Zasada, kl. 6 Niepubliczna Szkoła Podstawowa „Galileo” w Nakonowie – *cykl wierszy*

Zegar – Barbara Kotula, kl. 6 Klub Literacki „Pegazik” Młodzieżowy Dom Kultury „Iskra” w Pile, Szkoła Podstawowa nr 11 w Pile – *cykl wierszy*

Opowiadania

1 miejsce

Nastolatka – Antonina Mrowiec, kl. 6 Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12 w Stalowej Woli – *cykl opowiadań*

2 miejsce

Niezapominajka – Lena Leśniowska, kl. 6 Szkoła Podstawowa nr 1 w Mielcu – *Zrozumiałem, że nie wróci*

3 miejsce

Słonecznik 2 – Stanisław Mazur, kl. 4 Szkoła Podstawowa nr 9 STO w Warszawie – *Inwazja żab*

Wyróżnienia

Florenek – Florian Wienke, kl. 5 Szkoła Podstawowa nr 3 w Szamotułach – *Dzień z życia kota*

Zorba – Lila Zaborek, kl. 4 Akademicka Szkoła Podstawowa w Kielcach – *Jak kapibara Józefina wybrała się na grzyby*

Lucja – Łucja Stankowska, kl. 4 Publiczna Szkoła Podstawowa nr 24 w Radomiu – *cykl opowiadań*

Miki – Mikołaj Łysoniewski, kl. 5 Szkoła Podstawowa w Białej Rawskiej – *W gościnie u Wisłoki, Ropy i Jasiołki*

Kategoria II

Szkoły podstawowe, klasy 7-8

Wiersze

1 miejsce

Wenus – Joanna Maria Prus, kl. 7 Szkoła Podstawowa z Oddziałami Dwujęzycznymi nr 157 w Warszawie – *cykl wierszy*

2 miejsce

Grechut – Grzegorz Sobkiewicz, kl. 8 Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12 w Stalowej Woli – *cykl wierszy*

3 miejsce

Storczyk 2 – Maja Adamczyk, kl. 7 Szkoła Podstawowa w Chełmcach – *cykl wierszy*

Wyróżnienia

Gołąb – Milena Dawidziuk, kl. 8 Salezjańska Szkoła Podstawowa w Pile – *cykl wierszy*

Luna – Anna Adamczyk, kl. 8 Publiczna Szkoła Podstawowa nr 9 w Stalowej Woli – *cykl wierszy*

Rinella – Alicja Żurek, kl. 8 Szkoła Podstawowa nr 190 w Warszawie – *cykl wierszy*

Opowiadania

1 miejsce

Wenus – Joanna Maria Prus, kl. 7 Szkoła Podstawowa z Oddziałami Dwujęzycznymi nr 157 w Warszawie – *Lobotomia wszechświata*

2 miejsce

Makua – Maria Szade, kl. 7 Szkoła Podstawowa nr 1 w Jaworze – *cykl opowiadań*

3 miejsce

Tubicka – Maja Baron, kl. 8 Szkoła Podstawowa nr 307 w Warszawie – *cykl opowiadań*

Wyróżnienia

Asymondias – Hubert Wojtasiak, kl. 8 Szkoła Podstawowa w Jeżewie – *cykl opowiadań*

Liv – Oliwia Kubiszyn, kl. 8 Szkoła Podstawowa nr 1 w Lubaczowie – *Stacja końcowa*

Lumity – Ilona Karasińska, kl. 8 Szkoła Podstawowa nr 2 w Leżajsku – *cykl opowiadań*

Kategoria III Szkoły ponadpodstawowe

Wiersze

1 miejsce

Miklusik – Jakub Miklus, kl. 2 Samorządowe Liceum Ogólnokształcące w Stalowej Woli – *cykl wierszy*

2 miejsce

WiBi – Anna Wiktoria Biliczak, kl. 3 Społeczne Językowe Liceum Ogólnokształcące w Opolu – *cykl wierszy*

3 miejsce

MH – Magdalena Homa, kl. 3 II Liceum Ogólnokształcące w Białymstoku-Białej – *cykl wierszy*

Wyróżnienia

Ajdża – Iga Łobińska, kl. 4 Międzynarodowe Liceum Ogólnokształcące Paderewski w Lublinie – *cykl wierszy*

Izzz – Izabela Pilarska, kl. 4 Zespół Szkół Ponadpodstawowych w Zawadzkiem – *cykl wierszy*

Krokis – Jakub Krok, kl. 3 I Liceum Ogólnokształcące w Krakowie – *Itaka*

Tryja – Oliwia Tryjańska, kl. 3 VII Liceum Ogólnokształcące w Szczecinie – *cykl wierszy*

Opowiadania

1 miejsce

Ranna Cebula – Julia Nguyen Van, kl. 3 I Liceum Ogólnokształcące w Jaśle – *cykl opowiadań*

2 miejsce

Henry Monet – Anna Świetlicka, kl. 1 II Liceum Ogólnokształcące w Jaśle – *Odłamki porcelany*

3 miejsce

Werka – Weronika Łopacka, kl. 4 Liceum Ogólnokształcące w Międzyrzeczu Podlaskim – *Kadisz*

Wyróżnienia

Black – Julia Stańczak, kl. 4 II Liceum Ogólnokształcące w Białymstoku-Białej – *cykl opowiadań*

Charlie – Zuzanna Matuszczak, kl. 1 III Liceum Ogólnokształcące w Tarnowie – *cykl opowiadań*

Krokis – Jakub Krok, kl. 3 I Liceum Ogólnokształcące w Krakowie – *cykl opowiadań*

Jednoaktówka

1 miejsce

Krokis – Jakub Krok, kl. 3 I Liceum Ogólnokształcące w Krakowie – *Penteusz*

2 miejsce

Sowencja – Zuzanna Sujewicz, kl. 3 II Liceum Ogólnokształcące we Włocławku – *Dorośle dzieci teatru*

3 miejsce

Kama – Małgorzata Ogonowska, kl. 1 I Liceum Ogólnokształcące w Białymstoku – *Girls chat*

Kategoria I

Szkoły podstawowe

klasy 4-6

Wiersze

1 miejsce

15 Antonina Mrowiec: *Fotografie*

2 miejsce

16 Tomasz Krzyżanowski: *Odbicie*

3 miejsce

16 Ignacy Urbański: *Cisza*

Wyróżnienia

17 Kornel Zasada: *Nie mijam*

18 Barbara Kotuła: *Litania do niebios*

Opowiadania

1 miejsce

19 Antonina Mrowiec: *Koncert*

2 miejsce

24 Lena Leśniowska: *Zrozumiałem, że nie wróci*

3 miejsce

33 Stanisław Mazur: *Inwazja żab*

Wyróżnienia

34 Florian Wienke: *Dzień z życia kota*

38 Lila Zaborek: *Jak kapibara Józefina wybrała się na grzyby*

39 Łucja Stankowska: *Marcelina i przyjaciele*

43 Mikołaj Łysoniewski: *W gościnie u Wiśłoki, Ropy i Jasiółki*

Antonina Mrowiec (Nastolatka), kl. 6
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12
w Stalowej Woli

Fotografie

Czarno-białe skrawki papieru
oszukały czas...

Fotografie stare
pożółkłe, bez retuszu
ujęcia niedoskonałe, niepoprawiane
zawstydzone cyfrowymi selfie
pochowały się w pradawnych albumach

Pradziadek stoi poważnie w wojskowym mundurze
Babcia z warkoczykami w komunijnej sukience
Młoda para ze ślubnego kobierca ogrzewa uśmiechem miłości
Ogród dziadków umajony kwiatami skrzeczy piskiem dzieci
Mama w beciku okryta białą szatką bezlitośnie rozszarpuje ko-
ścielną ciszę
Tata wdrapuje się na stary orzech – dumny alpinista na szczycie
góry
Stara choinka podsłuchuje najszczęśliwsze świąteczne życzenia

Rodzinne fotografie – spektakl życia
aktorzy bez generalnej próby
odgrywają niepowtarzalne role
milcząc mówią
w bezruchu wygrywają nostalgiczne pieśni
muskają struny mego serca
wycierają kurz z pamięci

Tomasz Krzyżanowski (Człowiek kultury), kl. 5
Szkoła Podstawowa nr 34 w Krakowie

Odbicie

Czasami trzeba ujrzeć swoje odbicie
w strumieniu słów,
Bo to niekiedy wzbudza
największy strach.
Trzeba w nim ujrzeć siebie,
Niezależnie jak wygląda.
I chociaż to paradoks,
Trzeba przestać być odbiciem odbicia.

Ignacy Urbański (Ig), kl. 6
Szkoła Podstawowa nr 7 w Łodzi

Cisza

W naszym domu nie ma ciszy
W każdym kącie hałas słyszysz
Kot i pies wojują stale
Chomik drapie po regale

U sąsiada znów wiercenie
Bo odnawia pomieszczenie
A za oknem robotnicy
Kładą asfalt na ulicy

Znów do zsypu słoik szklany
Wrzuca sąsiad roztrzepany
Winda skrzypi, wiecznie zgrzyta
Drzwi z hałasem ktoś zamyka

Mama wciąż garnkami stuka
Tata w szafie czegoś szuka
A rodzeństwo dla zabawy
Wywróciło stół do kawy

I jak tu odnaleźć spokój?
Gdy moc dźwięków głośniejszych wokół?
Ja odpocząć potrzebuję
I nie myśleć nic w ogóle

Kto odpowiedź tę odgadnie
Gdzie ja ciszę swą odnajdę?
Czy jest miejsce takie gdzieś
Gdzie ja ciszę mogę mieć???

Kornel Zasada (Krito), kl. 6
Niepubliczna Szkoła Podstawowa „Galileo”
w Nakonowie

Nie mijam

Nie mijam krzywdy ludzkiej.
Płaczu kobiet, ani
Skrzywdzonych zwierząt.
Nie mijam bezdomnych ludzi
Oraz grobów poległych żołnierzy.

Nie mijam skrzywdzonego kolegi,
Skurczonej, bezradnej staruszki.
A gdy słyszę w telewizji strzały z broni,
Myślę o skrzywdzonych ludziach.

Myślę wtedy jako dziecko
Ile krzywdy jest na świecie.
Czy ominie mnie to?
Czy też będę musiał
Żyć w strachu?

Barbara Kotula (Zegar), kl. 6
Klub Literacki „Pegazik”
Młodzieżowy Dom Kultury „Iskra” w Pile,
Szkoła Podstawowa nr 11 w Pile

Litania do niebios

Ten pierwszy raz....
Gdy dłonią tak... nierealną
Dotknęłam... wyczułam...
Te wszystkie blizny,
Noce,
bez minuty snu,
podczas których zmawiałaś cichą litanie do niebios.
Wszystkie niewypowiedziane słowa, chwile,
kiedy nie było mnie,
A powinnam być przy Tobie

I zapomnieć próbuję
nadaremno...

Ptaki kolorowe czernieją,
Świat kruszeje niczym skrzydła motyli,

I tylko ja zapomnieć nie umiem
I nawet sosna omszona przypominać musi o Tobie.

Antonina Mrowiec (Nastolatka), kl. 6
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12
w Stalowej Woli

Koncert

W głębokim fotelu rozpostarłszy fałdy,

oddaję się z lubością poszukiwaniu prawdy.

Kamienne me serce rysą przeorane... strachem miotane...

Stopa centrali czerwonego Pearl'a miarowo wybijała ćwierćnuty
w metrum cztery czwarte...

Pammm...dwa, trzy, pari pa rammm dwa, trzy

Pari ra ram dwa, trzy, pari ra ram dwa, trzy

Grawerowane na szlachetnym drewnie pałki niczym koliber uwi-
jały się na break'u, wystukując po każdej ćwierćnucie miarowe
szesnastki:

cyk cyk cyk cyk

cyk cyk cyk cyk

cyk cyk cyk cyk

cyk cyk cyk cyk

Atmosfera stawiała się coraz bardziej napięta... Sekcję rytmiczną
w szaleńczy wir wprowadził przejmujący tembr basowego Ibane-
za, szarpiącego małe „e”, w miarowej półnucie z kropką, dopełnio-
ną ósemką i ćwierćnutą...

pammm pa pam

pammm pa pam

Stojąc na scenie z lekko ugiętymi kolanami, począłem falować
w rytm przejmującego bitu.

Czułem się jak nowo narodzony... Reżyser światła zapalił jupitery
prosto w moją twarz, niczym szpitalne lampy nad stołem opera-
cyjnym. Potężny punktowiec pokrył wiązką światła moją wątłą
posturę. Całe moje ciało wzdłuż kręgosłupa przeszył dreszcz emo-
cji. Tak spełniało się największe marzenie mojego życia. Stałem
na scenie przed prawdziwą, licznie zgromadzoną publicznością...
W całość występu z wolna włączył się oboista. Wprawnym, nie-

przerwanym zadęciem rozpoczął improwizację na temat Wiosny Vivaldiego... Wtem tłum zaczął napierać na ustawione pod sceną bariery ochronne. Dało się słyszeć nieprzyjemne okrzyki pracowników ochrony.

– Hej tam, gówniarstwo! Odsuńcie się od barierek! Słyszycie? – wydzierał się jakiś wieśniak w mundurze.

Tłum jednak ewidentnie zignorował nieokrzesanego pracownika firmy ochroniarskiej.

Ktoś z oddali krzyknął:

– Grajcie dla nas! Grajcie dla nas!

Spodobało mi się to bardzo. Koleś przyszedł na koncert posłuchać dobrej muzyki i postanowił nam przekazać, że jest i że czeka.

– Everybody! Zróbcie hałas Kielce! – zachęciłem zgromadzoną w parku młodzież.

Tłum, włączając się do śpiewu, ryknął pełnym głosem:

– *Pam...dwa, trzy, pari pa ramm dwa, trzy*

Pari ra ram dwa, trzy, pari ra ram dwa, trzy

W tej sekundzie byłem tak zaskoczony potężną odpowiedzią publiczności, że zapomniałem słów i zaciąłem się przed rozpoczęciem drugiej zwrotki.

– Essa moi państwo, total chillout mnie ogarnął... jeszcze nie nakręcił rymu, a już finał zaczął... – wyartykułowałem z mocą.

Naprawdę próbowałem nawinąć rym. Chyba nikt nie obczaił tej wtopy.

Lokalny artysta, wschodząca gwiazda małopolskiego hip – hopu, zawsze potrafi wybrnąć... – pomyślałem, poprawiając niedbale dłońią zaczesaną na bok grzywkę.

Towarzyszący mi zza konsolety DJ Qubus, popędził z bitem. Otarłem pot z twarzy, przechylając małą buteleczkę wody mineralnej.

– To zawsze pomaga zapęłnić dziurę w tekście – wypiliłem w stronę publiczności z nieskrywanym, szelmowskim wręcz uśmiechem.

– Zwykle w tym miejscu do głosu dochodzi narrator! Niechże tak będzie i tym razem! – krzyknąłem do kolegi. – Krzysiu! Do głosu dochodzi narrator! – powtórzyłem.

– Tak, już dochodzę! Do głosu... – warknął Krzysiek, niosący aktualnie dzbanek z gorącą herbatą. Niefortunnie stanąwszy, potknął się i upadł na brzuch. Obolały zadarł głowę do góry. Ze sceny widać było bezkresne morze płasających ponad głowami, unoszonych w rytm muzyki dłoni. Nooo, może nie bezkresne... No dobra, tłum płasających młodych ludzi, dziewcząt i chłopców. Nie bądźmy takimi szczegółarzami... W porządku! Pod sceną tańczyła duża grupa młodzieży!

– Extra! Sumienie mnie gryzie... – pomyślałem. – Dobra, ostatecznie... przyszło kilkadziesiąt osób z mojej szkoły, ale jestem pewien, że im się podobało. Krzyczeli głośniejsze niż bezkresne morze. Głośniejsze niż muzyka i głośniejsze niż przenosił mój mikrofon. W zasadzie było słychać tylko ich. Moim mikrofonem była butelka malinowej wody mineralnej z dyskontu. Ale i tak czułem się jak ktoś wyjątkowy. Czułem się naprawdę jak gwiazda. Wyjątkowy jak wnuczek w reklamie cukierków Werther's Original... On także był kimś wyjątkowym...

Rzuciłem kurtkę w kąt i zeskoczyłem ze sceny. Grupa słuchaczy rozpięzchła się gdzieś pomiędzy drzewami otaczającymi muszlę koncertową. Gdzieś słychać było chichot rozemocjonowanych nastolatków...

Idąc w stronę domu, kopałem mój niby mikrofon po asfaltowym chodniczku. W głowie kłębiły mi się marzenia o karierze muzyka. Było mi bardzo żal, że ten wspaniały koncert z garstką publiczności w rzeczywistości się nie odbył. Muzyka była puszczana z telefonu, który trzymałem w kieszeni. Reszta to efekt mojej wybujałej wyobraźni. Rozplanowałem już każdą sekundę upragnionego scenicznego debiutu. Niestety, przynajmniej na razie wokół nie było ani światła jupiterów, ani oboisty, ani wypasionych instrumentów, ani nawet DJ Qubusa. Szedłem zupełnie sam, karmiąc się marzeniami. Dobrze, że chociaż teksty są moim prywatnym dziełem, przynajmniej mogę je rapować sam dla siebie.

*„...wśród rozkołysanych drzew, kamiennych głązów
idę wzdłuż rzeki tej i w niej tonących lasów,*

*przyrody miły tembr, radosne brzmienie
uszy ukoj dźwięk, pszczoły..., szerszenie...
pam, pa rira pam pamm
pa rira pam pam
pa rira ram pammmm...*

*ten piękny krzewów szum, przyrody drżenie...
pod nogi bracie spójrz, sterczą korzenie!
Wędrując ścieżką tą trudno zdobytą,
idziemy patrząc w przód!
Idziemy ścieżką litą!"*

Mrucząc rytmicznie pod nosem, przemierzyłem całe miasto. Minawszy szkołę, zatrzymałem się przez chwilę na ławce. Obok znajdował się dom. Budynek zadbane, równiutko skoszona trawa, porozrzucane przy piaskownicy kolorowe foremki. Nagle na podwórku pojawiła się dziewczyna, zgrabna blondynka.

– Cezar! – krzyknęła donośnym głosem, kładąc miskę z karmą. Natychmiast stanął przed nią niewielki kundel, wesoło merdał ogonem. W tym momencie mój niby mikrofon zsunął się z ławki, wydając bliżej nieokreślony dźwięk. Blondynka od razu skierowała na mnie swój przenikliwy wzrok.

– Co tu robisz? Szukasz kogoś? – zapytała, podchodząc w moją stronę.

– Nie, nie... Tak sobie spaceruję... – odparłem zakłopotany.

Staliśmy blisko siebie, sytuacja wydała mi się niezręczna, więc postanowiłem zagadać. Między mną i nieznajomą wywiązała się dłuższa rozmowa. Dziewczyna miała na imię Ala. Okazało się, że ona również pisze poezję, ale nie rapuje, tylko ją śpiewa. Okazało się też, że chodzimy do tej samej szkoły muzycznej. Ja gram na gitarze, natomiast Alicja na fortepianie. Od tej rozmowy zaczęła się nasza znajomość. Obydwoje byliśmy zakręcenii na punkcie muzyki. Przez następne miesiące regularnie spotykaliśmy się w szkole, wspólnie spędzaliśmy przerwy na komponowaniu piosenek. Ja rapowałem, zaś Alicja śpiewała refreny, towarzysząc nam grą

na fortepianie. Zakradaliśmy się do auli i wyobrażaliśmy sobie, że występujemy przed prawdziwą publicznością. Połączyły nas wielkie marzenia o występach i karierze muzycznej.

Któregoś dnia, podczas jednego z takich spontanicznych występów na auli zaczęliśmy z Alą otrzymywać niezliczoną ilość polubień na fejsie i nie wiedzieliśmy z jakiego powodu... Okazało się, że to pani woźna prowadziła live'a z naszym występem na facebooku. Wszyscy nasi znajomi to widzieli, nie tylko znajomi zresztą. Po wyjściu ze szkoły, nasze telefony nie pozwalały nam o sobie zapomnieć. Co sekundę przychodziły lajki, łapki, gify i gratulacje. To, że byliśmy zaskoczeni, to mało powiedziane, byliśmy w totalnym szoku!

– Czy możesz uwierzyć w to, co się dzieje? – rozemocjonowany zapytałem Alicję.

– Nie, nie potrafię! To naprawdę niesamowite! – odpowiedziała. – Wiesz, czuję się wyjątkowo, tak wyjątkowo jak wnuczek z reklamy Werther's Original, o którym mi opowiadałeś.

Wtedy przypomniałem sobie mój koncert w parku, ten z DJ Qu-busem i znajomymi z klasy. Ten blask jupiterów, oboista, basujący Ibanez i niekulturalny gość z ochrony... Od tamtego wymarzonego koncertu, który zagrałem w mojej wyobraźni, rozpoczął się nowy rozdział życia. Nie tylko muzycznego, to wtedy przecież poznałem Alicję...

Jakby tego było mało, następnego dnia sekretarka ze szkoły muzycznej wręczyła Ali i mnie zaproszenie do programu telewizyjnego, w którym młodzież prezentuje swoje talenty. Otrzymaliśmy je od producenta muzycznego, który widział nasz szkolny występ. Okazało się, że nasza pani woźna jest jego mamą i wzruszona przesłała mu to nagranie. Myślę, że w życiu nie ma przypadków, dlatego zrobię wszystko, by wykorzystać tę szansę. Może i ja kiedyś wyślę komuś zaproszenie do programu.

Lena Leśniowska (Niezapominajka), kl. 6
Szkoła Podstawowa nr 1 w Mielcu

Zrozumiałem, że nie wróci

Stałem przed nagrobkiem. Gdybym go dotknął, pewnie poczułbym ogarniający mnie chłód. Pod palcami czułbym płaską, śliską powierzchnię, która zdawałaby się chować cały smutek tego świata. Postanowiłem jednak tylko się przyglądać. Znałem ten grób na pamięć. Na samym jego szczycie wyryte były inicjały zmarłej. Nikt nawet nie pofatygował się, aby napisać całe imię osoby leżącej pod zimną płytą. Zamiast napisu *Bianka Kowal* na nagrobku wyryte były dwie litery *B.K.* Poniżej wypisano niezgrabnie ostatnie słowa dziewczyny:

„Nie czekaj na mnie – ja nie wrócę”

I nic, poza tym. Rodzice Bianki nie pofatygowali się nawet, by zapisać datę jej narodzin czy śmierci. Mi jednak nie była ona potrzebna. Dobrze wiedziałem, kiedy dziewczyna obchodziła swoje urodziny. Osoba leżąca pod płytą była moją przyjaciółką. Jednak nie taką przyjaciółką, która bywa u mnie od czasu do czasu, by zjeść ciasto upieczone przez babcię, a taką, która była przy mnie nawet, gdy cały świat zdawał się walić. Kto wie – może ja nie byłem dobrym przyjacielem dla niej? *Bianka* zmarła dwa lata temu. Wszystko wydarzyło się tak nagle, że nikt nie zdążył się zorientować, że coś było nie tak. Dziewczyna ukrywała chorobę i smutek pod szerokim uśmiechem, który zdawał się nigdy nie schodzić z jej twarzy. A może ona sama nie wiedziała, że dzieje się coś złego?

Gdy stwierdziłem, że wystarczająco się napatrzyłem, odwróciłem się i opuściłem cmentarz tak szybko jak się na nim znalazłem. Nie mieszkałem daleko, toteż droga nie zajęła mi wiele czasu. Podczas mojej krótkiej przechadzki minąłem parę drzew, które jednak nie miały dla mnie żadnego znaczenia. Nie wiązałem z nimi wspomnień czy czegokolwiek innego, co z drzewami mogłoby mnie wiązać. Dzisiaj jednak czułem jakbym widział je po raz pierwszy. Stały tam od dziesiątek lat, ale dzisiaj odkrywałem je na nowo.

Każdą ich gałąź czy liść. Moja przechadzka musiała się jednak kiedyś skończyć. Gdy dotarłem do domu, wciągnąłem mocno powietrze i nacisnąłem klamkę.

Ku mojemu zdziwieniu w kuchni stała moja mama robiąc zapewne obiad. Krzątała się tam i z powrotem, jakby nie do końca wiedziała, co powinna teraz zrobić. To nie tak, że była złą kucharką! Gotowała wyśmienicie, co mogłoby potwierdzić tysiąc klientów jej miejskiej restauracji. Czasami jednak zapominała, co miała zrobić i w panice, która miała w jakiś sposób pomóc jej się odnaleźć, biegła po kuchni wymieniając pod nosem wszystkie składniki, które dodała.

Gdy znalazłem się w środku, oczy mojej mamy zwróciły się ku mnie.

– Byłeś u niej? – zapytała z lekkim poirytowaniem.

– Byłem – odpowiedziałem.

Moja mama pokiwała głową z niezadowolenia.

– Minęły już dwa lata. Musisz sobie zacząć radzić, bo ja cię z tego dołu nie będę wykopywać. Postaraj się o tym nie myśleć, zgoda?

Patrzyłem na nią tak samo jak zawsze. Moja mama nie była wysoka. Była przeciętnego wzrostu. Miała jednak piękne, niebieskie oczy, o których mój tata snuł opowieści. Gdyby miała córkę, pewnie byłoby to najpiękniejsze dziecko w okolicy, ale ona wolała syna. Wiem, że nie wybiera się płci dziecka, ale mama zawsze powtarzała, że chciała chłopca.

– Słuchasz mnie jeszcze? – zapytała ponownie. – Karolu wróć ze swojego świata na ziemię i zacznij mi odpowiadać.

Jej wzrok spoważniał. Wiedziałem, że powinienem się odezwać, ale zamiast tego powiedziałem, że będę u siebie, po czym udałem się do pokoju. Jeszcze długo słyszałem jej nawoływanie, ale przestałem zwracać na to uwagę.

Mój pokój był przeciętnym pokojem zamieszkiwanym przez chłopaka w moim wieku. Nie miałem tam wielkiej wanny, ale moje skromne, drewniane łóżko wystarczało mi w zupełności. Biurko stało pod oknem by dawać mi światło słoneczne, które i tak zastę-

powąła mała lampka. I – jak zapewne w każdym pokoju – panował bałagan. Jako moje miejsce spoczynku wybrałem łóżko. Położyłem się na nim wyciągając ręce i nogi we wszystkie strony. Leżałem tak długo, aż coś zaczęło mi przeszkadzać. Przekręcałem się z boku na bok, starając się znaleźć idealne miejsce, aby odpocząć. Jednak coś cały czas mi w tym przeszkadzało. Postanowiłem zerknąć pod materac, czy jakaś belka się nie poluzowała, ale zamiast tego zobaczyłem tam mały, zakurzony i zniszczony ze starości zeszyt. Jego okładka była podarta, ale widać było, że jest różowa. Już miałem rzucać nim jak najdalej, by dalej móc odpoczywać, ale w ostatniej chwili w jego rogu zobaczyłem małe inicjały. B.K. Z zainteresowaniem zerknąłem do środka, w którym znalazłem tylko zdjęcia. Na każdym z zdjęć była Bianka i ja. Bianka i ja w piaskownicy, Bianka i ja na wakacjach, Bianka i ja przed egzaminem ósmoklasisty. Tych zdjęć było nieskończenie wiele! Przewijałem strony w poszukiwaniu końca. Ten jednak nie przychodził. Postanowiłem więc dokładnie przejrzeć zdjęcia. Na jednym z nich miałem fryzurę tak fatalną jakbym obcinał się na ślepo! Roześmiałem się głośno na wspomnienie tamtych lat. Na innym zdjęciu trzymałem pluszaka, który nazywał się Pan Czekoladka. Uwielbiałem go. Zawsze, gdy było mi smutno ścisakałem go z całej siły. Wtedy wszystko co złe znikało, a pod palcami miałem tylko mojego najlepszego przyjaciela.

Przewijałem kartki dalej, aż zobaczyłem zdjęcie zrobione jako ostatnie. Była na nim tylko moja przyjaciółka. Jak zwykle uśmiechała się szeroko. W ręce trzymała różowy długopis, którym usiłowała napisać list. Zdjęcie zostało zrobione jakieś trzy, może dwa miesiące przed jej śmiercią. Dopiero teraz mogłem zauważyć, że jej twarz była dużo bardziej blada niż na wcześniejszych zdjęciach. Byłem tak obsesyjnie zafascynowany w siebie i swoje problemy, że wcześniej nawet nie zauważyłem tej zmiany. W tamtym momencie wszystkie myśli nachodziły na siebie. Sam nie wiem, czy chciały stworzyć razem jakąś całość, czy po prostu pragnęły zabić mnie od środka. Może to i lepiej? Być może zasługiwałem na wyrzuty

sumienia? Bianka całe życie patrzyła na innych. Nie ominęłaby płaczącego czy zagubionego dziecka. Dawała rady lepsze niż najbardziej wykwalifikowany psycholog, ale nigdy nie martwiła się o samą siebie. Może więc ja byłem złym przyjacielem? Może gdybym zauważył, że coś jest nie tak, nic by się nie stało? Nie wiem. Czasami lepiej po prostu nie wiedzieć. Zamyśliłem się chwilę. Oglądałem to zdjęcie tak długo, aż coś we mnie pękło.

Pod wpływem impulsu chwyciłem jakąś podartą kartkę z zeszytu do matematyki i zacząłem pisać. Pisałem o wszystkim i o niczym. Pisałem o tęsknocie i smutku. O radości i szczęściu. O szkole i o moim życiu prywatnym. Napisałem o wszystkim, o czym chciałem powiedzieć przez te dwa lata. Długopis nie chciał oderwać się od mojej ręki. Być może dawało mi to ukojenie? W połowie pisania moje przemyślenia zmieniły się w list do osoby, którą dobrze znałem. A przynajmniej tak mi się wydawało. List stawał się coraz dłuższy i dłuższy. Pisałem tak długo, aż wydobyłem z siebie każde nawet najmniejsze wspomnienie. Końcówka tego listu brzmiała tak:

„Chciałbym czasami zobaczyć, jak potoczyłoby się życie, gdybym wybrał inną z dróg. Czy byłoby lepsze? Moja mama pewnie by wiedziała, ale nie chcę jej pytać, bo będzie się martwić. Zawsze się martwi – denerwuje mnie to. Nie ma dnia ani godziny, w której by się nie martwiła. Wydaje się, jakby karmiła się zmartwieniami. Nie wiem czy to zdrowe, ale nie wydaje mi się by było. Mógłbym zapytać babci, ale obawiam się, że nie znałaby odpowiedzi. Powtarza mi, że co się wydarzyło, już nie wróci do swojej pierwotnej formy, więc bez sensu myśleć o tym „co by było, gdyby”. Ja mam jednak inne zdanie. Analizowanie swoich błędów z przeszłości nie jest takie złe. Można się z nich nauczyć bardzo wiele. Ty pewnie już to wiesz. Patrzysz na mnie czasami? A może już całkiem o mnie zapomniałaś? Mam nadzieję, że jest ci dobrze. Tęsknię,

Karol”

Od tamtego dnia pisałem listy regularnie. Jedne były szczęśliwe, inne tonęły wręcz w rozpacz. Zastanawiałem się czasem, czy to co robię nie jest głupie. W końcu nie znałem żadnej osoby, która pisała listy do kogoś kto nie żyje. Pomimo tego dalej to robiłem. Chyba dawało mi to ukojenie, za którym tak bardzo tęskniłem. Być może przybliżało mnie do przyjaciółki? Nikt nie był w stanie odpowiedzieć mi na to pytanie. Więc przestałem o to pytać.

Mój dzień nie był jakiś nadzwyczajny. Jak wszyscy chodziłem do szkoły. Wydaje mi się, że żadna sytuacja nie sprawiłaby, żeby moi rodzice pozwolili mi pewnego dnia zostać w domu bez powodu. A jeśli istniała taka sytuacja, chyba wołałem jej nie dożyć. Kto wie, co mogłoby się stać? Może świat zawaliłby nam się na głowy? Lepiej było nawet o tym nie myśleć. Wychodziło więc na to, że do szkoły mogłem nie chodzić tylko w weekendy. Zdawałem sobie sprawę, że nikt nie chodzi wtedy do szkoły, ale dla mnie to i tak było już coś. Moi rodzice od zawsze stawiali na wykształcenie, które pomogłoby mi zdobyć najlepiej płatną pracę. Prawda jednak była taka, że ani nie miałem umysłu geniusza, ani motywacji by się nim stać. Nie wiązałem też przyszłości z nauką. Gdy więc ktoś pytał mnie co chcę robić gdy dorosnę, odpowiadałem, że jeszcze nad tym nie myślałem. Co nie do końca było zgodne z prawdą. Już za małego dzieciaka wiedziałem, co chcę robić. Chciałem opowiadać historie. Ale nie takie o smoku, rycerzu i księżniczce, tylko takie które chwytająby za serce. Chciałem mówić o tym czego tak naprawdę wszyscy potrzebujemy. I to postanowienie nigdy się nie zmieniło. Zamiast tego urosło do takich rozmiarów, że nie myślałem już o niczym innym. Napisałem o tym nawet w jednym z listów. Problem polegał na tym, że nie do końca wiedziałem, jak to marzenie spełnić. Najłatwiej było nagrać film i wrzucić do Internetu. Bałem się jednak, że to nic nie da. W sieci ludzie najczęściej oglądali urywki z ulubionych seriali albo ludzi tańczących do muzyki, która średnio miała jakikolwiek sens. Prawdę mówiąc, kiedyś już próbowałem coś nagrać. Miałem nawet własny kanał. Był na

nim tylko jeden film. Nagrałem go razem z Bianką. Na nagraniu starałem się przedstawić, ale dziewczyna cały czas przerywała mi swoim głośnym śmiechem. Wydaję mi się, że nie brała tego pomysłu na serio.

Od jakiegoś czasu miewałem dziwne impulsy. Bywało tak, że w pewnym momencie chwytalem w rękę kartkę i albo rysowałem na niej kółka, albo rwałem ją na cztery części by za chwilę i tak skleić ją taśmą. Czasami czułem też potrzebę napisania listu, więc nie do końca myśląc co się dzieje, wyrываłem strony zeszytu by móc coś napisać.

Czasami jednak robiłem coś nie z impulsu a własnej chęci. Pewnego dnia wziąłem więc mój telefon i postanowiłem nagrać coś do internetu. Z początku nie szło mi to za dobrze i cały czas kasowałem film. Jednak za czwartym razem spałem się w sobie i z pełnym skupieniem zacząłem nagrywać jeszcze raz. Nie miałem zielonego pojęcia jak powinienem zacząć, więc rzuciłem krótkie:

– Cześć.

I chyba na tym zakończyłaby się czwarta próba, gdyby nie mój impuls, który swoją drogą w końcu postanowił mi pomóc.

– Nazywam się Karol – powiedziałem do telefonu. – Za dwa miesiące kończę 17 lat. Gdy byłem młodszy, wydawało mi się, że to bardzo dużo. Sądziłem, że będę wtedy wiedział wszystko i już nic mnie nie zdziwi. Prawda jest taka, że wciąż mam więcej pytań niż odpowiedzi. Szukałem kogoś, kto faktycznie wie wszystko, ale wydaje mi się, że bez względu na wiek nie ma takiej osoby. Chyba po prostu każdy ma jakieś pytania.

Zawahałem się chwilowo zdziwiony tym, jak dobrze mi idzie. Chciałem się rozejrzeć po pokoju w poszukiwaniu tematu, o którym mogłem się wypowiedzieć, ale się powstrzymałem.

– Opowiadam historie – kontynuowałem. – Takie historie, które, gdyby tylko znalazł się ktoś kto chce ich posłuchać, wniosłyby do jego serca bardzo wiele. Piszę też listy. Zazwyczaj są zaadreso-

wane do mojej przyjaciółki, ale chyba nie jest ciężko napisać do kogoś innego.

Nie wspomniałem o tym, że Bianka nie żyje. Wydaje mi się, że udawanie, że dziewczyna mogłaby właśnie w tym momencie wbiec do mojego pokoju było łatwiejsze. Kłamałem więc dalej.

– To właśnie moja przyjaciółka namówiła mnie do założenia kanału. – kłamstwo – Ma na imię Bianka. Mieszka bardzo daleko ode mnie, więc piszemy do siebie listy. Tam, gdzie mieszka nie ma nawet odrobiny internetu! – kłamstwo – Gdy tylko będę pełnoletni zabiorę ją stamtąd, żeby w końcu mogła pożyć w normalnym świecie.

Mówiłem jeszcze o wielu rzeczach. A nawet udało mi się opowiedzieć jedną z moich historii. Cały czas nie przestawałem jednak mówić o Biance. Wymyślałem kolejne kłamstwa na jej temat tak jakby sprawiało mi to radość. Kłamstwo zawsze jest łatwiejsze. W końcu prościej jest powiedzieć, że to pies zjadł pracę domową, niż że zapomniałem jej odrobić. Prościej powiedzieć, że jest się zajęty niż powiedzieć komuś, że wcale nie chce się z nim spotykać. I zdecydowanie łatwiej było mówić, że ktoś mieszka bardzo daleko niż powiedzieć, że nie żyje.

W ten sposób zaczęło się moje podwójne życie. Jedno toczyło się w listach, w których pisałem do Bianki, jak bardzo za nią tęsknie. Drugie zaś odbywało się w internecie, według którego Bianka dalej żyła. Może się to wydawać nieprawdopodobne, ale to wcale nie było takie trudne. Po pisemnym wyżaleniu się na temat moich problemów siadałem przy telefonie, na którym z uśmiechniętą miną opowiadałem kolejną zmyśloną historię. Naprawdę mi się to podobało.

Moje szczęście nie trwało jednak długo. Dwa miesiące minęły bardzo szybko, a ja dalej nagrywałem filmy opowiadając o mojej przyjaciółce. Więc gdy pewnego dnia poczułem, że jest mi źle, usiadłem do biurka i zacząłem pisać kolejny list.

„Droga Bianco!

Wiem, że zawsze pisałem datę i miejscowość na górze listu, ale i tak nigdy ich nie przeczytasz, więc to i tak nie ma znaczenia. Bianco, ja znowu kłamałem. Wiesz już, że nagrywam filmy i opowiadam w nich o tobie. Tym razem jednak za mocno się wczułem. Powiedziałem na filmie, że przyjedziesz na moje urodziny w ten piątek. A to chyba nie jest możliwe. Sam nie wiem czemu to powiedziałem. Chciałbym wiedzieć, ale nie wiem i nie wiem, czy się dowiem. Wolałbym nie zadawać sobie tak wielu pytań i móc po prostu odpocząć. Może gdy umrę, będę wiedział wszystko? Przez pierwsze dni czułem szczęście nagrywając te filmy. Zupełnie tak jakbym mógł przywrócić cię do życia! Może to był jakiś sposób na radzenie sobie z prawdą? Niesamowite, prawda? Potem jednak widząc jak bardzo nieszczerzy byłem, chciałem zapaść się pod ziemię. Wiele już razy próbowałem usunąć wszystkie te filmy z internetu, ale pojawiało się coraz więcej osób, które je oglądały. Więc dalej wszystkie są na moim kanale. Boję się, że pewnego dnia kłamstwo nie będzie sprawiało mi żadnej trudności. Wtedy będę kłamał nie tylko w internecie, ale też w niewirtualnym świecie. Chciałem tylko opowiadać historię. Chciałem opowiadać historię o tobie. Chciałem tylko zapomnieć o tym wszystkim, co dotychczas mnie męczyło. Czy kiedyś będę mógł spać spokojnie? Bianco, wiem, że jesteś tam u góry. Proszę patrz na mnie stamtąd. Prowadź mnie przez te życie, bo bez twojej pomocy chyba sobie nie poradzę.

Karol”

Listy, które pisałem, składały się w wielką kupę sterczącą na moim biurku. Nie miałem pojęcia co z nimi zrobić więc zazwyczaj chowałem je do pustych szuflad. Większość z nich mówiła o tym, jak żałuję wszystkich moich kłamstw. Myślałem, że jeśli zacznę mówić o moich zmartwieniach publicznie, one znikną. Tym czasem

pojawiało się ich coraz więcej i więcej. Czy to można było naprawić? Z moich oczu pociekły małe, mokre łzy. Kapały tak wolno, że mogłem je wprost liczyć. Jedna... kap... druga... kap... trzecia. Ludzie mówią, że chłopaki nie płaczą. Nie zgadzam się z tym. Nie płaczą tylko ci, którzy nie mają już nawet siły na płacz. Wcale nie jesteśmy tak nietykalni, jak niektórym się wydaje. Czwarta... kap... piąta... kap. Każdy z nas bez względu na płęć, poglądy czy wiarę ma prawo do płaczu. Kiedyś twierdziłem, że płacz jest oznaką słabości. Lecz to nieprawda. Każda z tych łez pokazywała odwagę. Tak ogromną odwagę, że sam nie wiem, czy ktoś byłby w stanie zmierzyć ją wzrokiem. Szósta... kap. Potem już łzy płynęły tak szybko, że nie byłem w stanie ich liczyć.

Mylilem się. Mylilem się w wielu sprawach. Myślałem, że jeśli będę udawał, że Bianka żyje, to pamięć o niej nigdy nie zniknie. Zapomniałem, że nie mogę wymazać z pamięci kogoś, kto był dla mnie tak ważny. Chciałem się pogodzić z jej brakiem a tylko stwarzałem sobie więcej bólu niż kiedykolwiek wcześniej. To był błąd. A ja zamiast posłuchać rad innych bliskich mi osób, wolałem żyć w swoim małym świecie. Swoim nierealnym świecie. Czy tak samo czuła się Bianka przed śmiercią?

Sięgnąłem po mój telefon. Otarłem łzy z policzków i włączyłem nagrywanie:

– Cześć – powiedziałem – jestem Karol. Jestem kłamcą. Jednak nie takim, który musi płacić za swoje winy. Przynajmniej nie pieniędzmi. Płacę sumieniem. Dręczy mnie codziennie. Dzień w dzień bez przerwy. I nie ustaje w tym. Błagałem, aby przestało, ale ono nigdy nie przestaje. Myślałem, że to świat mnie rani. Prawda była taka, że to ja raniłem sam siebie. Kłamstwo nigdy nie było, nie jest i nie będzie dobrym rozwiązaniem. To ostatni film jaki tutaj zobaczycie. Dziewczyna, o której wam opowiadałem, zmarła dwa lata temu. Była moją najlepszą przyjaciółką. Mam dość udawania, że cały czas jest tu ze mną. Dlaczego to mówię? – wziąłem głęboki oddech – Bo zrozumiałem, że nie wróci.

Stanisław Mazur (Słonecznik 2), kl. 4
Szkoła Podstawowa nr 9 STO w Warszawie

Inwazja żab

Pierwszy zginął pan Franciszek. Był to miły i skromny sklepikarz, który prowadził swój interes od wielu, wielu lat. Po szkole przychodziły do niego dzieci (którym dawał lizaki) i dorośli po papierosy. Rano do sklepu wpadali ludzie po chleb (który sprowadzał ze wsi) i po smakołyki. Sklep miał otwarty do późna. Gdy komuś zabrakło wina na imprezie, to mógł przyjść do niego po butelkę z samych Włoch czy Hiszpanii. Pewnego dnia wszystko się zmieniło. Sklep okrążyły żaby. Bronił się przed nimi, ale z każdą chwilą słabł. Nagle padł, przygnieciony kosmicznymi, zielonymi stworami.

Drużga padła pani Kornelka. Jej sklepik działał, odkąd pamiętam. Pani Kornelka miała 77 lat. Kupowałem sobie u niej gumy Turbo. Jeżeli czegoś brakowało w domu, to zawsze w jej sklepie można było to znaleźć. Gdy ją o coś pytałem, odpowiadała, jakby znała sklep na pamięć. Nagle przyszedł wielki zielony potwór i jedną stopą rozgniół sklep i panią Kornelkę. Nie zdążyła nawet pisać. Trzeci zginął pan Jarek. Pan Jarek miał 20 lat i prowadził budkę z hot-dogami. Całe podwórko do niego przychodziło, ponieważ miał duży wybór mięsa – tanie parówki, dobre kiełbaski, sprzedawał nawet parówki wege. Sam u niego kupowałem. Pewnego dnia zapachy pysznych, soczystych kiełbas zwabiły okrutne żaby, które zjadły hot-dogi, a na drugie danie pożarły pana Jarka, oblewając go musztardą.

Pewnie zastanawiacie się, co to za żaby skolonizowały nie tylko moją ulicę, ale też całą Polskę. Rozejrzyjcie się sami wokół. Kiedyś niedaleko mojego domu były trzy sklepy, dziś zamiast nich mamy cztery Żabki.

Florian Wienke (Florenek), kl. 5
Szkoła Podstawowa nr 3 w Szamotułach

Dzień z życia kota

Wylegiwałem się na łóżku Młodego, gdy nagle Duży nasypał mi moje jedzonko. Takiego sygnału nie można zignorować! Przybiegłem natychmiast i zobaczyłem Dużą z kontenerkiem! Uciekłem, póki wsparcie nie przybiegło z odsieczą Dużej. Nie myśląc już o jedzonku, czmychnąłem pod łóżko najmłodszego. Jednak po pięciu ludzkich minutach mnie znaleźli. „No nie, jadę do tego dręczyciela zwierząt” – pomyślałem.

Chyba wiecie, że dla kota wizyta u weterynarza jest jak oglądanie horroru bez możliwości zakrycia oczu. A nawet gorzej: to jest uczestniczenie w horrorze bez możliwości ucieczki. Co nie znaczy, że nie mam szans w starciu z nim...

– No co, Fitusiu? – zapytała Młoda – „Miau, miau” mi powiesz, koteczku?

– Miau! – odpowiedziałem po kociemu.

Teraz kilka słów wyjaśnienia odnośnie do mojego domowego stada:

Ja (narrator) – olśniewający kot europejski krótkowłosej o czarno-białej sierści, pogardliwie nazywany pospolitym dachowcem, stoję na czele, choć nie zawsze zdaję sobie z tego sprawę.

Duży – głowa rodziny, a przynajmniej za takiego się uważa, mój najwierniejszy podwładny: daje jedzenie i sprząta po mnie.

Duża – dodatek do głowy rodziny, nieustannie staram się ją hipnotyzować. Czasem nawet mi się to udaje.

Młody – najstarszy z ludzkich kociąt, nie lubi spać sam, więc z łaski poświęcam się i kładę się koło niego. Jego kołdra jest moim schronieniem w czasie ataku obcych ludzi.

Młoda – najśrodkowa z ludzkich kociąt, najmilsza poddana, często głaszcze, chętna do pieszczot i zabawy ze mną.

Mały – najmłodszy z ludzkich kociąt, najbardziej posłuszny, łatwo namówić na dodatkową porcję jedzenia, zwłaszcza od kiedy nauczył się obsługiwać podajnik z karmą. Duzi jeszcze o tym nie wiedzą.

Zatem wróćmy do „przygody” z weterynarzem. Dojechaliśmy do miejsca tortur, przez ludzi nazywanego kliniką weterynaryjną. Już w poczekalni czułem ból. Nie wiedziałem, co będą mi robić, ale już wiedziałem, że będzie to niesamowicie bolało. Niestety byłem w transporterku i nie mogłem wyjść. Gdy patrzyłem, jak koledzy z podwórka znikają za drzwiami i pojawiają się ponownie w gorszym humorze niż przed wejściem, czułem smutek, żal i strach przed tym, co ma się zadziać.

Nagle ktoś zawołał:

– Mefisto! – i wtedy Duży ruszył ze mną do białego, znanego mi pokoju.

Czułem ból, gdy weterynarz w okrutny sposób wyjął mnie z transportera. On po prostu mnie wyrzucił ze środka, choć udawałem Spidermana, który – jak pewnie wiecie – umiał przyklejać się do ścian. Chyba jednak muszę trochę poćwiczyć, bo wypadłem na stół.

Lekarz chwycił za kark, aż mnie ciarki przeszły, więc go ugryzłem. – Kurczaki! – zawołał głośno.

Przestraszyłem się, szukając małych, żółtych kulek z ostrymi dzióbkami, i czmychnąłem pod biurko. Jednak mnie znaleźli.

Zaczął się badanie, czyli wojna o przetrwanie. Z ukrytą wściekłością poddałem się mierzeniu temperatury. Wolałbym nie wchodzić w szczegóły. To zbyt upokarzające.

– Auć, auć, miau! – wyraziłem swoje niezadowolenie, oczywiście po kocie. Zostałem zignorowany.

Następnie weterynarz, jakby nigdy nic, zaczął mnie po prostu obmacywać po całym ciele! Próbowalem zrobić cokolwiek, by zachować swoją godność, jednak taki człowiek nie wie, jak łatwo może zniszczyć komuś reputację. Potem kat w białym fartuchu wymienił z Dużym dwa słowa i dał mi dwa bolesne zastrzyki! Co z tego,

że zostałem pochwalony za dzielność, skoro bolało tak, że nawet jak wróciliśmy, to piekło mnie niemiłosiernie.

Po zabiegu na wszystkich człowieków fukałem, ale w głębi duszy byłem usatysfakcjonowany, że tyle blizn zostanie weterynarzowi po tym spotkaniu.

Bolało tak, że aż nie chciało mi się jeść i w lenistwie to przeszkadzało. Dopiero po dwóch ludzkich godzinach przestałem czuć ten okropny ból. Co nie znaczy, że wybaczyłem człowiekom w moim zamku. Nadal robiłem na przekór ludzkim kociętom, nie poddawałem się pieszczotom, siadałem tyłem i sprawdzałem, czy widzą foch. Ponadto odchodziłem do pustych pokoi, ilekroć zakłócali mój spokój.

W oswojeniu się z bólem i utratą części mej godności pomógł zapach lasagne, którą człowieki jadły na obiad. Najpierw pokręciłem się trochę pod stołem, potem usiadłem na krześle sąsiadującym z Młodym. Później użyłem swoich umiejętności hipnotyzer-skich. Szczęście mi dopisało, bo Młody dał mi kawałek, ale tak, żeby Duży nie widzieli. Postawił talerz na podłodze. Rzuciłem się na kawałek pysznej, pomidorowej, mięsnej, serowej, makaronowej lasagne! Z satysfakcją wciągałem kawałki jedzenia, które mi ukradkiem podano. Temperatura była odpowiednia: ani za gorące, ani za zimne. Jednak po skończeniu lasagne oberwałem od Dużej kapciem, Młody zresztą też. Trzeba jej przyznać, że okazała się dość bystra. Zaciekało ją, czemu Młody schyla się pod stół. Ona też się schyliła, i się zaczęło. Taki mały kawałek, a ta krzyczy, jakby cała taca zniknęła!

Obrażeni, choć najedzeni, zamknęliśmy się w jego pokoju. Nie minęła minuta, a już chciałem wyjść.

Popołudnie minęło szybko. Przenosiłem się z łóżka na łóżko, z kanapy na fotel. Sprawdziłem, czy nikt nie zostawił mi lasagne w podajniku (nie zostawił). Zakopałem co nieco w żwirku (Duży, pięknie wysprzątał – piątaczka!). Upewniłem się, że piszcząca myszka nie zagraża mojemu królestwu (nie zagraża, niestety, powalczylibym sobie z nią). Porównałem wodę z kranu, spod prysz-nica i z mojej fontanny – wszędzie taka sama. Duża była w kuch-

ni, pokręciłem się między stopami, ale nie otworzyła lodówki, za to nagadała, że kręcę się i może mnie nadepnąć. Bla, bla, bla. To niech uważa. I otworzy lodówkę.

Poszedłem się zdrzemnąć, bo dzień był męczący i bolesny – słowem okropny! Wybaczyłem, ale nie zapomniałem.

Zrobiło się ciemno za oknami. Upewniłem się, że za wszystkimi jest równie ciemno. Już szykowałem się na kanapie do snu obok Dużego oglądającego serial, gdy nagle – niespodziewanie – z zaskoczenia zaatakował mnie różowy koczek leżący pode mną. Dawno nie mierzyłem się z takim przeciwnikiem! Musiałem użyć niebezpiecznych pazurków i ostrych kłów. Rzuciłem się, gryzłem, szarpałem, ale on nie dawał za wygraną. Walka była zacięta, na szczęście wyszedłem cało. Wygrałem bitwę, ale czy wojnę też? Tego nie wiem. Na pewno niejedno się jeszcze wydarzy, ale obiecuję, że zawsze ten gość dostanie w kość!

Odszedłem z podniesionym ogonem z pola bitwy, tylko nie rozumiem reakcji Dużego – czemu on się śmiał jak szaleniec? Zapytałem o to Młodego, gdy wpakowałem się do jego łóżka. On mi jednak nic nie odpowiedział. Zapomniałem, że nie zna kociego. Trzeba ich lepiej wytresować.

Nadszedł ranek. Wszyscy moi poddani słodko śpią. Sprawdzam delikatnie, czy Mały – najsłabsze ogniwo w stadzie – się nie obudzi: miauczę mu do ucha, klepię lekko po nosie. Żadnej reakcji. Pakuję się na poduszkę. Budzi się, woła Dużą. Ona przychodzi, ale nie ogarnia, że chcę jeść. Wyrzuca mnie z sypialni i zamyka drzwi. Cóż. Poczekam.

6.00. Duży nie wstaje, ale podajnik działa. Dostaję śniadanie.

6.30. Zacząłem swój koncert pod tytułem: „Od trzydziestu minut nic nie jadłem”. Nie skończyłem zwrotki, a już w stronę mojego łebka został posłany kapeć.

No cóż, poszukam szczęścia gdzie indziej. Do Dużego nie mam co iść – za głośno chrapie. Drzwi do Małego nadal zamknięte. Młody czytał do późna, więc nawet młot pneumatyczny go nie obudzi.

Idę do Młodej, wyciągam asa spod sierści, ale tam też ponoszę porażkę. Niestety jokera nie posiadam.

Ostatecznie nie udało mi się otrzymać drugiego z trzech zaplanowanych przeze mnie śniadań. Chyba muszę zadzwonić do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, że moi podwładni są niedowychowani. Naprawdę potrzebna im tresura.

Lila Zaborek (Zorba), kl. 4

Akademicka Szkoła Podstawowa w Kielcach

Jak kapibara Józefina wybrała się na grzyby

Za górami, za lasami, gdzieś w Brazylii żyła kapibara Józefina ze swoimi dziećmi. Kapibara Józefina miała dwa lata – to mniej więcej połowa życia kapibar mieszkających w naturze, w dzikich lasach. Józefina, tak jak inne kapibary, wyglądała jak duża świnka morska, ale nią nie była. Miała jakieś osiemdziesiąt centymetrów długości i ważyła pięćdziesiąt kilogramów. Oj, to na pewno nie są wymiary świnki morskiej...

Pewnego dnia Józefina poszła na grzyby ze swoimi dziećmi – kapisynkiem Józiem i kapićóreczką Jadwinią. Kiedy szły leśnymi ścieżkami przypominała dzieciom, żeby się od niej nie oddalały, jednak one jej nie posłuchały i wnet się zgubiły. A wszystko przez ciekawego grzyba, którego zauważyły na skraju ścieżki. Grzyb miał długą jasną nóżkę i olbrzymi czerwono-niebiesko-żółto-różowy kapelusz w zielone ciapki. Wyglądał obłędnie i kapibarkom wydawało się nawet, że puszczał do nich oczko, ale okazało się, że to nie było oczko, lecz jedna z ciapek.

Tymczasem mama kapibara nie zauważyła, że Józio i Jadwinia się oddalili. Szła powoli i mówiła dalej:

– Pamiętajcie, żeby nie krzyczeć, bo leśni sąsiedzi jeszcze śpią.

W tym czasie Józio szukał Jadwini, ale nie naszukał się długo, bo kapisiostra była za grzybem. Już po chwili oboje zaczęli się bawić

w kapiberka. Jadwinia zaczęła uciekać, a Józio liczył do trzech. Biegła tak szybko, że w końcu wpadła na swoją mamę. Józefina aż podskoczyła – tak się wystraszyła.

– Co to ma być?! Szczyt bezczelności! – krzyknęła z całej kapimocy.

– Jadwiniu, kończę zabawę, wywaliłem się, aaaa, chyba coś sobie zrobiłem w nogę, aaaaa – wołał Józio na całe kapigardło gdzieś z oddali.

Mama kapibara poczuła wtedy wielki niepokój o swojego synka. Jadwinia była tuż obok, ale gdzie przepadł Józio? Złapała kapićóreczkę za łapkę i pobiegły przez las na poszukiwania. Drzewa szumiały mocniej, a nad nimi zaczęły latać jakieś dziwne, nieprzyjemne ptaszory. Józefina biegła ile sił w nogach, zasłoniła Jadwini oczy, żeby się nie bała ptaszorów. Na szczęście wkrótce znalazły Józia i rodzina wróciła do domu, by opatrzyć małej kapibarce nogę.

Niestety kapibara Józefina wróciła do domu bez grzybów. Morał z tego taki: zawsze słuchajcie rodziców, zwłaszcza gdy jesteście kapidziećmi!

Łucja Stankowska (Lucja), kl. 4
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 24
w Radomiu

Marcelina i przyjaciele

Był chłodny wrześnieowy poniedziałek. Zdenerwowana jedenastoletnia Marcelinka szła do nowej szkoły w dużym mieście. Nigdy nie myślała, że spotka ją taka zmiana, ale nie mogło być inaczej. Cała rodzina zmuszona była na kilka miesięcy przenieść się z rodzinnej małej miejscowości do dużego miasta, w którym była możliwość leczenia poważnej choroby jej mamy.

Wprawdzie wszystko zostało ustalone z rodzicami i młodszym o dwa lata bratem Szymkiem, ale strach przed nową szkołą i nowymi uczniami paraliżował Marcelinę. Co usłyszy gdy wejdzie do

klasy, jak ją ocenią po wyglądzie, czy ktoś się do niej odezwie? Czy zaprosi do ławki?

Nie potrafiła się skupić. Pomimo, że rodzice byli w szkole i zapewniali, że będzie dobrze, Marcelina drżącymi rękami otwierała drzwi do sali, gdzie rozpoczynała lekcje klasa V A.

– Dzień dobry Pani i Wam koleżanki i koledzy. Jestem Marcelina i przez kilka miesięcy będę się uczyć razem z Wami. Czy przyjmiecie mnie do swojego grona? – zapytała.

– Dzień dobry Marcelino – odpowiedziała pani od języka polskiego. – Witam Cię serdecznie, a Wy? – zwróciła się do uczniów.

– Oczywiście, my też Cię serdecznie witamy.

Marcelina poczuła ulgę i usiadła obok dziewczynki o imieniu Kryśia. Zaczęła się lekcja. Marcelina starała się pilnie słuchać wszystkiego i zapisywać. Cieszyła się, że będzie dobrze. Tymczasem zadzwonił dzwonek na przerwę, uczniowie wyszli z klasy i zaczęło się przesłuchanie.

– Skąd przyjechałaś? – zapytała Kryśia a wraz z nią inne dziewczynki.

– Przyjechałam z małej miejscowości.

– To znaczy, że ze wsi? – krzyknął Julek. – Ha, ha. Nie wiem czy sobie dasz radę w naszym mieście. – Spojrzał na Marcelinę i dodał

– Ubiór też jak ze wsi, pewnie bez telefonu, nie mówiąc o innej elektronice.

Marcelinie zakręciły się łzy w oczach, nic nie mówiąc odeszła na bok, słysząc za sobą słowa dziewczyn: ciuchy z targu, trochę grubaska, niemodna fryzura, jednym słowem wieśniaczka. Serce waliło jak opętane, ale nie dała się sprowokować do rozmowy.

Najważniejsza była mama i jej zdrowie. Dla niej, dla taty i brata znieśie wszystko i wytrzyma kilka miesięcy upokorzeń, czekając na powrót do swojej rodzinnej miejscowości i do przyjaciół w szkole.

Po powrocie do domu odrobiła lekcje, pomogła bratu i razem z tatą poszli do szpitala. Zatraskana mama zapytała jak w szkole, na co usłyszała odpowiedź, że jest dobrze i serdecznie. U brata w klasie też, ale to akurat było prawdą.

Następny dzień w szkole był podobny do pierwszego. Siedziała sama w ławce, nie mogła liczyć na niczyją pomoc. Nie chciała żadnej litości, dlatego też nie powiedziała nikomu, dlaczego jest w tej szkole. Prawdziwy powód był znany tylko dyrekcji i wychowawczyni klasy. Po kilku tygodniach Julek, który pierwszy zaдрwił z Marceliny, podszedł do niej na przerwie i zaproponował, że może jej pokazać miasto jak będzie chciała. Marcelina podziękowała za propozycję i odmówiła. Nie ufała Julkowi. Była przekonana, że chce to zrobić, żeby potem się z niej śmiać. Nie da mu tej satysfakcji.

Wśród dziewczynek była Kasia, bardzo skromna, nieśmiała tak jak Marcelina. Odważyła się jednak podejść do niej i zaproponować swoją pomoc i przyjaźń. Ona też się czuła w tej klasie obco, bo pochodziła z biednej rodziny i nie nosiła markowych ubrań. Dziewczynki powoli nabierały do siebie zaufania i postanowiły zostać przyjaciółkami.

Niestety nie trwało to długo. Zazdrosna o wszystko i wszystkich Kinga nie pozwoliła na to. Zaczęła roznosić plotki po klasie na ich temat – oczywiście kłamliwe, namawiała pozostałe dziewczynki, aby nie odzywały się do nich i szydziły z nich. Celowo przynosiła do szkoły słodczyce i częstowała wszystkich poza Marceliną i Kasią. Marcelinie zrobiło się przykro, że z jej powodu dokuczali i wyśmiewali się z Kasi.

Poprosiła więc koleżankę po lekcjach na rozmowę. Chciała oszczędzić jej smutku i postanowiła, że nie będą się kolegować w klasie, żeby już nikt Kasi nie ranił. Ona sama – dla swojej chorej mamy zniesie wszystko. Gdy Kasia się dowiedziała o chorej mamie, to jeszcze bardziej postanowiła wspierać Marcelinę. Nie zwracała uwagi na podłe zachowanie koleżanek i kolegów, tylko wspierała przyjaciółkę.

Mama po przejściu poważnej operacji zaczęła wracać do zdrowia. Za każdym razem w czasie odwiedzin pytała, czy w szkole wszystko jest dobrze. Owszem, dobrze było z nauką, ale poza Kasią nie miała żadnych przyjaciół. Mimo to zapewniała mamę, że wszyscy w klasie jej pomagają i wspierają.

Po kilku miesiącach mama opuściła szpital i wróciła do wynajętego domu. Nadszedł czas powrotu do rodzinnej miejscowości. Marcelinka cieszyła się bardzo i już pragnęła wyjazdu. Mama postanowiła, że podziękuje uczniom w klasie Marceliny za okazaną jej pomoc. Nie mówiąc nic córce kupiła słodycze dla uczniów, a dla wychowawczyni kwiatki i poszła do szkoły. Na ostatniej lekcji weszła do klasy.

– Dzień dobry – powiedziała do wszystkich. – Jestem mamą Marcelinki i przyszłam Wam drodzy uczniowie serdecznie podziękować za okazaną mojej córce pomoc. Moje życie było zagrożone, ale dzięki temu, że moje dzieci znalazły w tej szkole pomoc i wsparcie, wszystko skończyło się pomyślnie. Nie martwiąc się o dzieci szybciej wróciłam do zdrowia. Proszę, te słodycze są dla Was a dla Pani też kwiaty. Życzę Wam kochani wszelkiej pomyślności i najlepszych przyjaciół.

W klasie zapadła cisza. Jedynie Kasia podbiegła do Marcelinki, aby ją uściskać, a potem do jej mamy. Reszta uczniów ze spuszczonymi głowami siedziała w swoich ławkach, zasłaniając rumieńce na twarzy.

Mama z radości nic nie zauważyła. Marcelinka podziękowała pani wychowawczyni i uczniom za wszystko. Wyszły z sali.

Wychowawczyni zapytała uczniów, czy zasłużyli na takie podziękowanie od mamy Marcelinki.

Jedynie Kasia się uśmiechnęła, a reszta klasy – nie podnosząc czerwonych ze wstydu twarzy, wypowiedziała słowo przepraszam. Na tyle było ich stać, bo niczym więcej nie mogli się pochwalić.

Marcelina i Kasia stały się przyjaciółkami na dobre i na złe. Ciągłe ze sobą korespondują, odwiedzają się i planują wspólną dalszą naukę w szkole średniej.

Mama Marceliny nie pytała więcej o to, co było w szkole, a Marcelina cieszyła się ze zdrowia mamy i jednej, ale prawdziwej przyjaciółki.

Prawdziwy przyjaciel nie stawia wymagań i nie żąda zapłaty. Wystarczy magiczne słowo „dziękuję”, aby przyjaźń była trwała i szczerą.

Mikołaj Łysoniewski (Miki), kl. 5
Szkoła Podstawowa w Białej Rawskiej

W gościnie u Wisłoki, Ropy i Jasiołki

Siedzieliśmy wszyscy w samochodzie, marząc o tym, aby jak najszybciej znaleźć się w Krempnej. Nowy Rok chcieliśmy przywitać w drewnianej chacie koleżanki naszej mamy, która ma tam swoją pracownię artystyczną. Nie mieliśmy dużego wyboru z miejscem odpoczynku. Infekcje nękały nas już od początku grudnia. Teraz mama prowadziła samochód i często pytała, czy aby na pewno czujemy się dobrze.

Nie byłem przekonany, czy cieszyć się z tego wyjazdu. W końcu wybieraliśmy się do małej miejscowości. Mieliśmy mijać po drodze Jasło i właśnie wczoraj odkryłem, że prawie nic nie wiem o tym mieście. Ze zdziwieniem patrzyłem na Pogórze Jasielskie, zajmujące na mapie duży obszar.

Myślałem teraz o tym, obserwując mijane wzgórza, zarośla i lasy. Znalazłem się nagle na stromej, wąskiej ścieżce. Słońce zachęcało do wędrowki. Gęste krzaki świerkowe rosły po obu stronach ścieżki, a w nich harcowały małe ptaszki. Po pewnym czasie poczułem smakowity zapach.

– Ale jestem głodny! – przebiegło mi przez myśl.

Zapach przypominał pieczony chleb nad ogniskiem i jeszcze coś, czego nie mogłem rozpoznać. Przyspieszyłem kroku i znalazłem się na małej polanie.

– Mamo, mamy gościa! Cześć Mikołaj, jak dobrze, że jesteś!

Byłem oszołomiony. Przy małym ognisku stała piękna pani, a obok krzątały się dwie młode dziewczyny. W dodatku wszystkie mnie znały!

– No podejdź tu! Nie krępuj się! Dziś magiczny dzień, wszyscy będziemy witać Nowy Rok.

Podszedłem do ogniska i okazało się, że wspaniały zapach, którego wcześniej nie rozpoznałem, wydawał wędzący się biały ser. Teraz już byłem porządnie głodny.

– Ja jestem Wisłoka, a to moje córki Ropa i Jasiołka.

– Imiona wydają mi się znajome. Ale skąd panie znają moje imię?

– To magia. Szczególnie lubimy osoby dobre i ciekawe świata. Prawda, że ciebie interesuje mnóstwo rzeczy i uwielbiasz podróże? Nie mogłem zaprzeczyć. Było bardzo ciepło, więc dziewczyny rozpięły kożuchy. Zauważyłem, że miały pięknie haftowane białe bluzki.

– Czyżby miał tu być bal sylwestrowy? – wyrwało mi się niezręcznie.

– To nasze stroje regionalne – odpowiedziała z powagą Wisłoka.

– Siadajcie! – zawołała do wszystkich. – Mikołaj jest już bardzo głodny.

Usiedliśmy na pniakach. Nic nigdy w życiu nie smakowało mi tak bardzo, jak ten gorący, trochę przypalony chleb i wspaniały podwędzony ser. Zajadałem, aż mi się uszy trzęsły.

– Musisz wiedzieć Mikołaju, że jesteś teraz w Jasło – powiedziała Ropa. Jasło to miejsce, gdzie każdy powinien zjeść coś smacznego. W bardzo, bardzo dawnych czasach Jasło znaczyło po prostu „koryto”, w innych językach słowiańskich „żłobek”.

– Nie zanudzaj go! – wtrąciła Jasiołka. – Chodźcie trochę pobiegać! Dobrze nam zrobił „berek” wśród zarośli. Chętnie zjedliśmy resztki pachnącego sera.

– Czas na nas! – zawołała Wisłoka do córek.

Na polanie zrobiło się nagle pusto i mrocznie. Poczułem się nie-swojo.

– Pani Wisłoko! – zawołałem z całej siły. Odpowiedział mi szum rzeki.

– Jasiołka! Gdzie jesteś? Odpowiedziało mi tylko echo i odgłos perliście spadającej wody.

– Ropa! Wróć choć na chwilę! Znowu odpowiedział mi odgłos płynącej wody.

Byłem przerażony. Nie dość, że nie wiem gdzie jestem i jak się tu dostałem, to zaraz zapadnie wieczór. Znowu ten szum. Podobny do wody, ale czy na pewno?

– Budzisz się synku? – usłyszałem głos mamy.

– Tak! Ale co tak szumi?

– Zapomniałeś, że podróżujemy? To inne pojazdy. Na szczęście zdążymy przed nocą.

Odetchnąłem z ulgą. Mój szalik pachniał dymem, ale nikt tego nie zauważył. Gdy mijaliśmy kolejny zakręt, pomachała do mnie zza gęstego świerku roześmiana Jasiołka.

Kategoria II

Szkoły podstawowe

klasy 7-8

Wiersze

1 miejsce

47 Joanna Maria Prus: *Aniołek na parapecie*

2 miejsce

47 Grzegorz Sobkiewicz: *Kłęska*

3 miejsce

48 Maja Adamczyk: *Szczęśliwe zakończenie*

Wyróżnienia

49 Milena Dawidziuk: *Nienawiść*

50 Anna Adamczyk: *Gdybym umiała...*

51 Alicja Żurek: *Papkin z wizytą w Soplicowie*

Opowiadania

1 miejsce

55 Joanna Maria Prus: *Lobotomia wszechświata*

2 miejsce

62 Maria Szade: *Pani Niecodzienna*

3 miejsce

68 Maja Baron: *12 Questów Heraklesa czyli parodia mitów greckich. Wężowy Potwór*

Wyróżnienia

74 Hubert Wojtasiak: *Zwierzenia pewnego nastolatka*

79 Oliwia Kubiszyn: *Stacja końcowa*

83 Ilona Karasińska: *Złota kula*

Joanna Maria Prus (Wenus), kl. 7
Szkoła Podstawowa z Oddziałami
Dwujęzycznymi nr 157 w Warszawie

Aniołek na parapecie

Przyszedł nagle
Tak jak stał
Kurtka
Buty
Szalik w paski
fioletowa lilia
Papierowy rycerzyk strzegący gromadek dzieci przed smokiem
zza siedmiu lasów
Aniele z wróblimi skrzydłami
Spadłeś w przepaść
I została mi tylko porysowana szlaczkami kartka
Kilka kropel syropu na kaszel
I dusidła za ochrą powieki.

Grzegorz Sobkiewicz (Grechut), kl. 8
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12
w Stalowej Woli

Klęska

znów zostałem pokonany
spektakularnie...
jak mówi mama
pokonała mnie fizyka
siostra matematyki
panowie Amper i Om
przygwoździli mnie na amen
moje myśli wraz z wiedzą
odleciały bezmyślnie

do krainy ciszy
w głowie powstała głucha pustka
a na kartce pojawiły się same
głupoty
fizyczne wiadomości poszły
chyba na spacer
odniosłem porażkę
na całej linii
popadam w panikę

na szczęście są poprawki...

Maja Adamczyk (Storczyk 2), kl. 7
Szkoła Podstawowa w Chełmcach

Szczęśliwe zakończenie

Wcale nie tak daleko, za górą, za rzeką,
za milionem domów i tysiącem marzeń,
za światłami choinki i wielością zdarzeń,
leży kraina mrozem i mrokiem spowita.
Odgłosami wybuchów i wyciem syren
prawie od roku każdy dzień wita.
Ale już niedługo, jeszcze tylko mgnienie
i świat ujrzy szczęśliwe zakończenie.
Odrodzi się to, co dziś w gruzach,
jak Fenix z popiołów.
W niebie przybędzie niebiesko-żółtych aniołów...

Milena Dawidziuk (Gołąb), kl. 8
Salezjańska Szkoła Podstawowa w Pile

Nienawiść

Byłam w kraju wojny
I usłyszałam w ciszy
Milczące o pomoc wołanie
Nie było krzyków, łkań
Nie było nawet strzałów
Z nieludzkich oczu zamiast łez
Płynęły morza nienawiści
Ktoś krzyknął
Lecz to nie z bólu
On tylko wrogo przeklina
A ręka trzęsie się sama
I nóż w kieszeni otwiera
Wróg czy przyjaciel?
Na jedno wyjdzie
Gdy zblednie mu skóra na dłoniach
I każdy zapomni
Czy istniał? – być może
Nie ważne, kiedy już skonał płakała ziemia
Do której ciało jej dziecka złożono
Wróg, czy przyjaciel?
Na jedno wyjdzie
Gdy ziemia z zimną spotka się dłonią
Byłam w kraju wojny
Lecz nadal żyję w moim świecie
Tutaj też ręce się trzęsą, też bledną
I w moich granicach
Ziemia łzy swe wylewa
Wróg, czy przyjaciel - nieważne
Gdy dziecko przyjąć trzeba

Anna Adamczyk (Luna), kl. 8
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 9
w Stalowej Woli

Gdybym umiała...

Inspiracja: Maurice Ravel „Bolero”

Natchniona deszczem dźwięków,
chcę zakląć w wierszu
maestrię Bolera.

Jego pięknem
nakarmić chcę wersy,
by żarem słońca
rozpalały zmysły,
by słowa wodospadem
pobudzały każdy nerw
lirycznej wrażliwości.

O, gdybym tak umiała oddać, co czuję...
jak dźwięki człowieczeństwa miłe są mej duszy
jak bardzo są mi drogie
– gdybym potrafiła w strofach życia
gwiazdnej wiolonczeli struną szarpnąć,
melodią fletu najczulsze dźwięki wnętrza poruszyć,
głosem trąbki unieść się na skrzydłach motyla,
werblem rozjaśnić twarze zmęczone,
– gdybym umiała...
melodię fagotu, puzonu, rogu
w poezję zaczarować,
by na wspólnych nutach miłości
w niebo się wznosiła,
by w zgodnych wersach ludzkiej wrażliwości
do tańca porywała

– gdybym umiała...

wtulić duszę w muzyki głębię
na jej dźwiękach wpłynąć
w zatokę poezji
i zacumować
na całe życie.

Alicja Żurek (Rinella), kl. 8
Szkoła Podstawowa nr 190 w Warszawie

Papkin z wizytą w Soplicowie

Błysnęła zapalona zapalka, knot białej, wypalanej do połowy świecy zajął się płomieniem, oświetlając skromnie umeblowany pokój. Delikatne, choć w kilku miejscach pogrubione pracą dłonie złamały woskową pieczęć, otworzyły kopertę. Niecierpliwy wzrok przebiegł po równych linijkach wyjętego listu.

Szanowny Panie Papkin,

liczę, że list ten zastanie Pana w dobrym zdrowiu i humorze. Piszę po długim milczeniu, albowiem wraz z moją nowo poślubioną żoną zaprowadziliśmy właśnie ład na ojcowiznie. Wyrzuciliśmy „śmieci” - jak się u nas mówi - i wyniki swej pracy chcieliśmy pokazać Panu. Zasięgnąć rady i posłuchać wieści ze świata. A Ciebie Szanowny Panie, władco Artemizy, której blask, tak jak słońce oświetla doliny, mam zaszczyt zaprosić do mojej dziedziny.

I wyrazić nadzieję, że Pan nie odmówi prośbie oddanego Papkinowi sługi...

Tadeuszowi Soplicy

Wiatr zagonił chmury w jeden kraniec nieba

Niby pies pasterski owce, gdy potrzeba,

By zniknęły z łąki dla czyjejś wygody,

By za nimi gospodarz zamknął drzwi zagrody.

Słońce, pozbawione pierzastej zasłony,

Promieniami jasnymi oświetla zielony

Pejzaż okolicy i zboża srebrzyste

W świetle księżycy, w słońcu znowu pozłociste,

co się ciągną daleko. Pomiedzy zaś nimi,
Niby wstęga brunatna wije się, miłymi
Gośćmi zapełniona dróżka nieubita,
Kwieciem otulona. Gdzież to jest? - zapyta
Ktoś, kto by zapragnął ujrzeć miejsce owo.
Ktoś inny odpowie: „Toż to Soplicowo”.
I na tej właśnie drodze, tenże widok chłonąc,
Jechał Papkin na koniu, skarżąc się na gorąc.
Pyłu tworząc tumany, pospiesznymi kroki,
Pod nim ze zmęczenia falowały boki
Kasztanki, jego klaczy co zwie się Maryla
I jak rozповідаł, kiedyś krokodyla,
Gdy po niego pojechał w niebezpieczne kraje,
Przegoniła z rzeki, aż w pobliskie gaje,
By swemu jeźdźcowi dostarczyć rozrywki.
By polował nie tylko w kompocie na śliwki,
Ale w dzikich lasach na dzikiego zwierza.
Tu też będą łowy! Papkin nie dowierza
Wciąż w swe szczęście. Przed nim już błyszczą z daleka
Dworku gospodarzy pobielone ściany.
Już do niego dociera piękny koncert grany
Na trzy głosy: ptasi, żabi, gospodarski,
Idealnie zgrany, zegarek szwajcarski.
Już Papkina wita półotwarta brama,
Już go z daleka woła młoda, piękna dama.
Szlachcianka, choć wieśniacką coś urodą pała -
Przez słońca promienie jej skóra dostała
Ciemny połysk, co się zwie opalenizna.
Kontrastuje z nim biała i zwiewna bielizna.
Ach nie, toż to tylko wspomnienie szczęśliwe
W pamięci ukryte! Cóż za niegodziwe
Stworzenie z tego czasu, jako wilczur z lasu,
Co go karmisz obficie z własnego zapasu,
A on cię i tak potem szczękami zahacza,
Gdy nie może znaleźć w gęstwinie rogacza.

Lecz próżne rozważania porzućmy za progiem,
Gdyż minąwszy pole, leżące odłogiem,
Papkin właśnie zajechał w gospodarskie progi.
Zaraz ucałuje Tadeusza nogi,
Bo tak głosi obyczaj. Ściśnie mu prawicę,
Wcześniej oczywiście zdejmie rękawice,
By móc w razie urazy na ubitej ziemi
Racji swych dowodzić. Stanęliby niemi
Wpół ze zgrozy ludzie z tejże okolicy.
Ktoś chce coś zarzucić naszemu Soplicy!?
Ja walczyłbym z każdym, z każdym jak tu stoję!
Ach, bym krwią umazał wyszukane stroje!
Ale praczki szkoda. Biedna kobiecina
Może by się bała? Cóż, nie moja wina.
Walki nie będzie jednak, lecz cóż na zawadzie,
By w tym miejscu spokojnym oddać się ogładzie.
Pod komendę, skrzypią już podłogi stare.
W stajni za oknami widać konie kare,
A Tadeusz gościa swego oprowadza,
W tajniki obyczajów wiejskich go wprowadza.
Opisuje trudny obrzęd polowania
I konieczność bigosu później gotowania,
W wielkim garnku, dla wszystkich co się wykazali.
I dla tych, co się spóźnieni okazali -
Dopowiada gospodarz, przymrużając oko.
Widać, że to on właśnie w śnie utknął głęboko.
Dnia tamtego mówi też o grzybobraniu,
Plotkuje o rejenta dziwacznym ubraniu
Według mody francuskiej uszytym, podobno.
Bez tego nowi małżonkowie osobno,
Bez widzenia siebie, by czas swój spędzali.
Papkin na dziedziniec wyszedł, a tam w dali
Jakiś kształt potężny na niebie migoce.
Nieregularny, szary jego cień dygoce
Na trawniku.

– Z tym zamkiem też się wiąże sprawa!
 – Jakaż to? – zapyta Papkin – Czy wyprawa
 Do niego szła zbrojna? I nikt nie zapytał
 Czy iść nie chcę? Ja bym ich w zamku powitał!
 – Toż to nie tak, Papkinie! Inaczej to było.
 Już Ci opowiadam, co się wydarzyło.
 Człowiek jeden, co się zwał Jacek Soplica,
 O którym to słyszała cała okolica...
 – To twój ojciec?
 – Ach milcz, gościu, nieroztropny!
 W tych murach dopełnił się los okropny!
 To zamczysko obronne krwią było obmyte
 Podczas szturmów przez Moskale niezdobyte.
 Mówić by tu dużo, to historia stara...
 Na wędrowców deszczu strugi niby kara
 Za przewiny przodków, z nieba, jak katowski miecz
 Spadają, wszystko w koło przemaczając. Lecz
 Oto przed nimi wpół otwarta brama.
 Ona ich przyzywa do siebie niby mama,
 Co dzieci zbłąkane do siebie przygarnia,
 Z deszczu je w ciepłą izbę dłonią swą zagarnia.
 Kończy się opowieść. Kroki wędrowników,
 Rozbrzmiewające po sali melodią sejmików,
 Nagle cichną. Na ścianie zegar wisi stary,
 Wystukuje rytm wolny. Takie to zegary
 Były kiedyś! Nie to, co teraz – bezgłośnie,
 Małe zegareczki – po prostu żałosne.
 – Witajcie nieproszeni goście – głos się ozwie
 Stary, jak papier suchy. Nikt was tu nie pozwie,
 Za mych granic nielegalne przekroczenie,
 Choć to niebagatelne przecież wykroczenie!
 Papkin szybko okiem rzucił dookoła.
 „Wróg jest tylko jeden, więc mi nie podoła!
 Ale co to? Ja znam tego jegomościa”.
 – Szanowny Scyzoryku, wiesz jakiego gościa

Żeś powitał? Jam jest Papkin, lew północy,
Władca Artemizy! Jam ustrzelił z procy
Tyłu wrogów, że się ciał ich nie pomieści
W tej komnacie, chyba że ściany przemieści
Stu siłaczy! Ale, ale mój Gerwazy!
Gdzież ten rapier sławny, ciężki i żelazny,
Krwią wrogów zalany? Rzekł Gerwazy – Oddany!
– Jak to oddany? Toż to czyn jest zakazany!
– Wcale nie, mopanku, mój miecz – woła moja.
A teraz – rzekł, patrząc w głąb trzymanego słoja.
– Łapcie państwo! I rzucił w ich stronę dwie żaby
I skakali za nimi, aż śmiały się graby.
Za murami, potem dzień przeminął długi
Papkin towarzyskie swe pospłacał długi.
I wyruszył do domu, do Fredrykowa
(od Fredry jest to taka gratka językowa).
Wracał długo, powoli, ciesząc się widokiem,
zapamiętując wszystko, na co rzuci okiem.
I nieraz miał zatęsknić już do Soplicowa,
Ale cyt... bo to jest już historia nowa.

**Joanna Maria Prus (Wenus), kl. 7
Szkoła Podstawowa z Oddziałami
Dwujęzycznymi nr 157 w Warszawie**

Lobotomia wszechświata

Śmierć czasem bywa mało poetycka. Bez potrzeby umieszczania jej w zakurzonym tomie wierszy. Bez rozgłosu, tłumów dziennikarzy koczujących w ogrodzie, bez świateł. Taka była ta moja własna, bez wchodzenia do klatki z kobrą. Z miłości, dla miłości. Gryzie mnie w gardle to słowo, ale równie dobrze to może być flegma. Jak mówiła ciotka Esterka – Licho wie i szepcze. Słowo klucz, nie żyje, a przynajmniej nie w tym świecie. Na nekrologu napisali, Aleksy....., lat 19, zmarł tragicznie, i tratatata, aż do cześć jego

pamięci. I w sumie tyle. Pogrzeb był nawet udany. Mateczka się postarała. Jak na to, że umiera jeden egzemplarz na pięciu obecnych w zaciszu domowego ogniska, jak dodałby zaraz dziadek. Dobry chłopaczek, spokojny, uczył się na 5 z plusem, nawet uczynny, szczery. Artysta, ale z przyszłością. Na tym granicie to powinni jeszcze dopisać: właściciel Fryderyka i Marii Luizy, kotów marki maine coon, deski Emanuela, i psa rasy coś pomiędzy pudlem a wycieraczką. A, i że pochowany w białej koszuli i krawacie w groszki. Pominąłbym włosy. Bo pewnie zdążyli mi je ściąć krótko przy skórze i wypomadować. No bajka jednym słowem. I miałem druczkiem: umarła nadzieja świata. Trenował Karate. Siedem cholernych lat. *Umiera jak kot na szosie*. Tak wykrzyczał brat. Płakał. Dwudziestopięciolatek wyjący jak małe dziecko. Jak dla mnie, te spazmy były niepotrzebne. Mowy, przemowy i kondolencje, nie zapominajmy o tonach biało-różowych lilii, bez tego nie ma imprezy. A potem stypa. A ty człowieku w ziemię. Mało wygodne rozwiązanie. Oni mają spokój, zapłacą, opłacą trumnę i księdza, organistka zagra parę hymnów, goście popłaczą, najedzą się konfitur i popiją piwa, a ty w tej samej chwili leżysz 5 metrów pod ziemią, zastanawiając się nad swoim życiem. *Hello Angel, Welcome in Paradiso*. Aniołek, ale bez skrzydeł. Znaczy się, bez takich prawdziwych rzecz jasna. Znajdą się w kuferku sztuczne. Domalowane do życiorysu pastelą. I tak Cię potem odkopią, odkują z granitu i wywalą na cokół, tylko dlatego, że jesteś martwy. Nagle, to co zrobiłeś w życiu nie ma najmniejszego sensu. Liczy się tylko to, że umarłeś, i w związku z powyższym nie wypada wylewać na ciebie żalów i pomyj. Hipokryzja, ale w jasnych tonacjach. Byłem zwyczajny, naprawdę i wbrew temu, co o mnie piszą. Brukowce i niepotrzebna polityka. Umarł to umarł. Zrobił co miał zrobić. Dobrze w sumie, że przed włożeniem do trumny mnie poskładali alles zusammen do kupy, nie żebym ja był jakimś wielkim estetą, ale pewne matkę by mdliło na kazaniu. Syn pochowany z przewróconą obręczą biodrową. No, ale w końcu nie krwawię, to im tych aksamitów nie pobrudzę. Moja wina, moja wina, wiem, że moja wina. Aaa i to nie tak, że żałuje, że umierałem. No bez przesady.

Spowiedź szczerą odbyłem. A że ksiądz płakał, to już nie moja wina. Całego świata nie poniosę na barkach. Moja śmierć, nie im. Jestem niewinny wysoki sędzie. Ale dość o tem. Konanie, konaniem, a wypadaloby, ku bożemu porządkowi powiedzieć od początku. Kraków, dom. Można powiedzieć mały azyl od świata. Siostry, bracia, ja, Mamusia, Tatko, koty i pies. I do tego tona różowego lukru. No może nie najzupełniej tak kolorowo. Nie, żebym był realistą. Po prostu nie czuje tego całego zachwyty nad egzystencją zawsze i wszędzie. Mieszkaliśmy zawsze w domu. No wiadomo. Podzielonym murem pokoi i nieco zawiłych relacji, coś na zasadzie, dzisiaj mnie kochasz, jutro nienawidzisz. Ale to tylko dygresja. Reszta za chwilę, muszę wziąć oddech. Trochę trudno jest opowiadać z trumny. A więc, mieszkaliśmy w zwyczajnym, ceglanym, pomalowanym na kanarkową żółć domu. Numer 5. Wygrana w totka. Raj i Bóg, tak wierzę i wierzyć będę. Dom przesiąknięty zapachem zrąbanej sosny i aloesu ze świec. Nieco kakofoniczny, ale z dużym ładunkiem emocjonalnym. Wypełniony ludźmi od piwnic po kominy, jak zawsze mawiała babcia Matylda. Kochałem babcię i jej konfitury. Czasem podśmiewałem się podczas 5 godzin smażenia tych dusideł, że podstawą wyżywienia tej rodziny jest chleb i marmolada z poziomek. Babcia jako jedyna we mnie wierzyła i nie nałożyła na mnie ekskomuniki, że umarłem bez walki ze smokiem. Potem umarła ona i sagi rodziny. Ją spalili, a książki wyniesiono na strych. Została tylko magia. Leonia Emmanuela Szado żyła lat 87. Babcia Leosia, moja kochana dama Kier. Cała ta rodzina umarła, tylko, że niektórzy jeszcze za życia, tak przynajmniej twierdziła babunia. Po tych 20 latach jestem się w stanie nawet z nią zgodzić. Zakopani w papierach gazet. Zmarł syn i kolejna wypełniona rubryka. Wszystko musi dać się sklasyfikować i poupychać w tabele. Poza skalą nie ma życia. Potem rodzi ci się syn, chce zostać artystą, a ty z przerażeniem odkrywasz, że brakuje ci cyferek na linijce. Katastrofa jest wtedy nieunikniona. Tsunami zalewające dom, ty tkwiący po kostki w błocie, z zaciskającą się na szyi pętlą. Dookoła skandujący tłum. *Skacz, puść, obrót w prawo.* Ja nie chciałem takiego życia. Po linii prostej z ziemi do nieba.

Ja się urodziłem zapętlony i zapętlony umrę, jak mówił ojciec. Nie żałuje wysoka rado. Chciałem być sobą, wykreślony własną linią horyzontu. Laska. Nie żebym mi to określenie przeszkadzało. Zgrabna nawet, 187 cm wzrostu. Słomkowy kucyk. Zielone oczy. Nie panikuje, że mnie ktoś pomyli z dziewczoją. Trudno dziwić się faktom. Bo ja taką kontrowersyjną urodę mam, znaczy doprawdy ładna ze mnie dziewczyneczka (to z kolei głos siostry). Wiem i nie zaprzeczam. Ja serio nic nie zamierzam na to radzić, że nie wyglądam jak bracia. Ot taka uroda. Łyk herbatki. Ulica Akacjowa dom 5, żółty domek z cegły. Godzina 6, piątek. Pobudka załogi. Huzia, Rózia, Matylda. *Ave Caesar morituri te salutant. O Victorio moja Victorio*. Pobudka z reguły oznacza coś mało kojącego. Nic w domu nie chce współpracować. Kołdry, poduszki, prysznice i ekspresy do kawy zakładają związki zawodowe. Stereotyp wiecznie przećpanego poranka. Ja nie narzekam. Przed kolejkami. Łazieneczka, kąpiel. Śniadanie. Kawunia. Haust powietrza i można iść. Wolność. Dzwonek o 8. Lasem. Kraków. Ale peryferia. Jest jesień. Wszystko w człowieku wiruje. Rozstrzelanie cieni. Mijam katedrę. Zakręt w prawo. Ogrody. Mury. Rzędy na rządy. Łatwo jest umierać, wiedząc po co i dłaczego się umiera. Łzy. Sól i woda. Mijam latarnię. Podłoga wypełniona krwią. Pośrodku niej człowiek. Ja, Ja, Ja... Każdy ma w sobie ciemną stronę. Jakąś maskę. Szkoła. Liceum im. Marysi Konopnickiej. Klasa 3 c. 14 dziewcząt na 16 chłopca. Brama. Stal. Za 15 minut lekcja. Polski. Wiersze. Kornelciu Makuszyński, Adaś Asnyk i Władziu Broniewski. Strzał. Tłum. W takich chwilach budzi się we mnie socjopata. Kieszonkowy Hannibal Lecter. Wrzesień. Świeże powietrze. Teraz mi go nieco brakuje. Naładowane płuca. Jak karabin. Wypluwam dym. Lufka. Szysza. Papirus. Śmierć w bibułce. Czuje zawroty głowy. Wychodzę z sali. Światło. Rząd żarzących się szkiełek. Kalejdoskop światełek skupionych w tęczę oka. Słabość organizmu wyniszczonego chorobą. Mam białaczkę. Jeszcze kilka chwil. Paręnaście oddechów i koniec. Ragnarok. Karagana. Koniec świata. Upadek kosmosu. Nie chcę tak skończyć. Kołyska łóżka. I ja. Lęk. Choroba. Wojna. Śmierć. Zgliszczka. Biała Pani. Białaczka. Urodziny. Świecz-

ki, tort (śmietankowy z brokatową posypką) i bliscy. Nazwisko, imię, strzał. Właśnie wybiła osiemnasta godzina życia. Nie spodziewałem się petard, spadających gwiazd, bukietów z róż i konwalii (zresztą jeszcze na to za wcześnie) chciałem mieć spokój, chciałem tylko móc się odrobinę zdrzemnąć. Być w centrum świata, jeśli świat ten zamknąłby się w czterech ścianach i ramie łóżka. Tym czasem, owszem nawet rama by się zgadzała, ale zdecydowanie nie jest to moja sypialnia. Jestem w szpitalu, a jedynymi życzeniami jakie słyszę, są te o jeszcze jeden dzień życia, jeszcze jeden oddech, jedno spojrzenie w niebo, jeden krok w światło. Jestem sam, mimo tłumów odwiedzających mnie ludzi. Umieram, wiem brzmi patetycznie i zbyt górnolotnie, tak jakbym się żalił i miał o to do kogoś, poza sobą, pretensje. Umieram, bo tak chciał Najwyższy, tam pod nieboskłonem. Tak, jestem wierzący, i to właśnie chyba jeszcze trzyma mnie przy życiu (pomijając maskę tlenową i zastrzyki z morfiny). Jest kwiecień, dokładnie 21 dzień miesiąca. *nie już nie boli, nie boli, nie płacz, spokojnie, przejdzie, nie naprawdę nic nie czuję.* Niezliczone korowody ludzi, pytań, lekarzy i pielęgniarek, kilometry kabli, olinowań z rurek, wenflonów przebijających nici żył. Jestem zawieszony pomiędzy niebem a ziemią, budzi mnie ból, i on mnie usypia, stalowa kołyska, a na jej środku ja, bezradna dziecinka. To tylko mnie odróżnia od niemowlęcia, że jeszcze sygnalizuję potrzebę przepełnienia do toalety, tracę głos, także nawet nie pogaworzę, nie powygrażam światu pięścią, bo zwyczajnie nie mam siły jej podnieść. Farsa i łyż. 30 dni. Od przebudzenia. Skręcona paraliżem powłoka na drewnianej posadzce. Tego nie da się opisać żadnymi słowami, wiedzieć, że ma się nogi i ręce, ale nie móc, nie potrafić ich użyć do podniesienia się nad ziemię i drewno własnej sypialni. Przebudzenie, zwłaszcza w poniedziałkowy ranek nie jest miłe i relaksujące. Ale bywają gorsze chwile, próżnia wypełniająca człowieka od palców do czubka głowy, świadomość i bezwład, zarazem bycie i niebycie sobą, to bywa gorsze. Wtorek, świeci słońce, 18 stopni Celsjusza, dobry dzień na koniec świata. Spytacie co to ma niby do rzeczy, koniec świata, wtorek i wyrok. W sumie można powiedzieć, że w moim przypad-

ku wspólną datę, 21 marca godzina 7:00 i przebudzenie ze snu. Z Nieba do Piekła. Krew na chusteczce. Krzyk i pozioma pulsująca linia. Potem chemia. Reemisja. Częściowy powrót do sił. I znowu atak od flanki. Życie nie chcę, a muszę. Siadam na kiblu. Osuwam się po zimnej ścianie. *Aleks. Tak zabciu? Ty nie żyjesz Mała. Mała.* Wera. Upierdliwa przyrodnia siostrzyczka. No prawie. Doszywana jedwabnymi niciami. Moje maleństwo. Kurka wodna. Stryczek i pętelka. Zabiłbym tych drani. Powywieszał na opłotkach za to co jej zrobili. Za te podpalane włosy, wyśmiewanie, szykany, wyzwiska, plucie, ośmieszanie, rzucanie papierowymi kulkami i zrzućcie ze schodów. Nie dała rady. Zabiła się. Moja Mała Wi się zabiła. *Kiedyś się spotkamy.* Szept. Łza skapuje na porcelanowy tron. Będę wymiotował. Żółć. Pusty żołądek. Czas wracać. Zanim się zorientują i znowu będą wywarzać drzwiczki. Jeszcze żyję. Kolejne gładzenie, prezentacja. Ciche czytanie. Zachwyt nad tymi polami i zbożem rozmaitem. Holokaust. *Powtórzcie sobie wszystko na jutro. A tak, a pewnie. Na jutro.* Oprócz klasówki z matmy. Jeszcze to. Ciężki, przytłumiony oddech. Krztuszę się. Krew. Chusteczka. Wstajemy. Ból. Półprzymknięte powieki, Karuzela Czasu. I nagle łup, zawirował świat, i ta cholerna wata w uszach, dźwięki przytępiały i wyblakły, rozsadzający półkule ból i cisza. Lot w ciemność, mrok i światło. Wirują rojone gwiazdy, błyskając mgławicami wspomnień. Dryfuję w eterze, otacza mnie miękkie światło, zapadam się w jestestwie. Spokój. Ukojenie. Tłumione świadomością szepty, dusze czyściciele, łubu dubu, świsty, gwizdy, krzyk. Ktoś w pierwszym rzędzie kaszlnął, hopsa sasa do lasa, hau miauu, kwik i *Hej sokoły*, budzik, czajnik, poeci wyklęci wybiegli z obrazów. Mickiewicz, Norwidy i Szyborskie. Szkoła wyborowa i huzia Róża Matylda w ziemię. Stało na gapieniu się w oglupiałego z nadmiaru szczęścia Jacę w koszuli w groszki? *Piguła.* Białe ściany, miara i drewniane biurczko. Gabinet Panny Zarazy. Tfu. Emilki. Cholera, ale żem pierdyknął dyktą o podłogę, znaczy się, chyba i czego nie wykluczam przy obecnym stanie percepcji, musiałem się skulnąć na konwersacje do Tanto. *Się rozbierze, wystawi język, tętno, puls, dostanie kropki miętowych, nogi w górę i będzie dobrze.*

Nie no mistrzyni normalnie. Lekarz, jak po medycynie w Ciecho-
cinku, na zaocznym kursie. Telefon do rodziców. Asterka i w dro-
gę. Do szpitala. Na kontrolę. Nie będę gnił w łóżku. Chcę chodzić.
Przepraszam, trochę gniecie mnie ta wyściółka w trumience. Ok.
Jestem. Jeszcze. Doktor Łucja. Starsza kobiecinka po siedemdzie-
siątce. Miła, zasuszona staruszka. Uśmiech przyklejony w kąciku
ust. Brązowe oko patrzy na mnie zza drucianych oprawek. Skąd ta
blizna. Żyletką się zaciąłem. Morfina weszła, żyje, śmiech, wdycham
powietrze małymi haustami, dławię się, spojrzenie kata
w białym kitlu. Leki. Kolejne. Powrót do domu. *Paranoi Squad*.
Nowa płyta. Rozdziawiona paszcza. Błogo. Słuchawki na uszy. Ko-
lejne odkrztuszanie krwi i flegmy. Niech to się już skończy. Zielo-
ny pokój. Plakaty Korn i Behemota. Misiek od Werki. Pamiątka.
Szafa. Kilka koszulek. Bojówki. Glany upchnięte pod biurkiem.
Stłoczone na półce tomy Władcy Pierścieni. I To wszystko. Tyle po
mnie i ze mnie. Patrzę w lustro. Czerwone zapuchnięte oczy. Trzy-
dniowy zarost i szczątki kitki. Fantastycznie. Taki to będzie miał
branie. Gorzki uśmiech. Zanim umrze. Skona sobie w ziemi i się
na niej umęczy. Zawsze mogę trochę dopomóc szczęściu. W mojej
głowie kiełkuje plan. *Alek, skarbie, kolacja czeka. Już idę mamó - od-*
krzykuję z góry. Pizza. Z szynką. Potem kąpiel i sen. Koszmary.
Werka. Kaszel, krew, leki. Drugi bok. Poranek. Dzwoni budzik.
Imperium Trujki. Hunter. Pociąg relacji Poznań Główny-Białystok stoi
na torze 4, peron 7, podróżnych przesiadających się (sprzężenie mi-
krofonu) prosimy o zwracanie uwagi na komunikaty stacyjne. Rześko
na dworze. Marszałkowska, Aleje, Jana Pawła, Stadion, Ruda.
Klony, kasztany, żółędzie. Barrierka. Most. Chrząst żelaza. Pisk.
Cisza. Wygięte w nienaturalnej pozie ciało. Godzina 8:45. Bielmo
zasnuwające oczy. Krew. Na koszulce i chusteczce. Konanie. Prze-
rażeni podróżni zapełniają rojną chmarą stację. *Idiota. Debil.* Kara-
wan. Tanato przyszedł. *Moje maleństwo, w końcu jesteśmy razem.*

Maria Szade (Makua), kl. 7
Szkoła Podstawowa nr 1 w Jaworze

Pani Niecodzienna

Nie tak dawno temu, w miasteczku o nazwie Cudakowo, a właściwie na pagórku obok Cudakowa, stał wysoki domek do góry nogami. Był jaskrawożółty w zielone pasy i obrośnięty kwiatami. Żył w nim sobie pani Niecodzienna. Była pulchną osobą, a wszystko w domu było dopasowane do jej szerokości. Ubierała się zwykle tak samo jak jej domek – miała jaskrawożółtą suknię w zielone pasy i naszyjniki z kwiatów, które zawsze nosiła na szyi.

Wszyscy szepotali o niej różne dziwne rzeczy. Mówili na przykład, że jest obcym z innej planety, który podgląda ludzi i ich zwyczaje. Dorośli mówili tak o pani Niecodziennej, ale bardzo chętnie przyjmowali zaproszenia na herbatę, gdyż mogli wtedy wymyślić nowe plotki na podstawie tego, co widzieli w jej domu. Zupełnie inaczej było z dziećmi. Uwielbiały odwiedzać panią Niecodzienną i bawić się w domku do góry nogami, choć mamusi i tatusiowie surowo im tego zabraniali. Pani Niecodzienna również uwielbiała wizyty dzieci. Lubiła robić im gorącą czekoladę i rozdawać cukierki własnej roboty. Chyba głównie z powodu tej gorącej czekolady i cukierków dzieci lubiły przychodzić do pani Niecodziennej (i oczywiście dlatego, że była bardzo miła). Chociaż był jeszcze jeden powód. Pani Niecodzienna miała żyrafę, która zwała się pani Żyrafińska.

Dzieci uwielbiały wspinać się po Żyrafińskiej, mogły robić to godzinami. Pani Żyrafińska służyła pani Niecodziennej do... przejażdżek! Codziennie rano pani Niecodzienna wystawiała głowę przez drzwi i wołała: – Dzień dobry, panno Żyrafińska! Jak się ma pani w ten piękny deszczowy dzień?

Bo pani Niecodzienna uwielbiała deszczowe dni. Ubierała wtedy przeciwdeszczowy płaszczyk w kwiatki oraz kalosze, po czym wychodziła na dwór i skakała po kałużach. Taka właśnie była pani Niecodzienna.

Pewnego dnia pani Niecodzienna postanowiła pojechać do Cudakowa, aby odwiedzić swoich znajomych, państwa Bzibziak. Po śniadaniu założyła swój ulubiony naszyjnik z niebieskimi kwiatami i zielonym środkiem.

– Czy mogłabyś mnie zawieźć do Bzibziaków? Mam od nich zaproszenie na rurki z kremem – spytała Żyrafińskiej, a kiedy ta się zgodziła, podstawiała sobie drabinę sznurową i wsiadła na jej grzbiet. Żyrafińska ruszyła dostojnie z pagórka i biegła tak aż do Cudakowa.

Tam musiała już zwolnić. Wszędzie panował straszny tłok. A musicie wiedzieć, że tam, gdzie mieszkają jednocześnie ludzie i zwierzęta, można się spodziewać straszego bałaganu. Ludzkie dzieci bawią się w gumę na ulicy razem z młodymi kangurkami. Małpy grają z bogaczami w pokera, a ośmiornice w szachy. Możecie teraz pomyśleć, że pani Niecodzienna jest w tym gronie całkiem niewyróżniającą się osobą. Ale właściwie tylko ona ubierała się tam kolorowo i miała dom do góry nogami, podczas kiedy ludzie i zwierzęta nosili szarobure garnitury, byli bardzo poważni, trzymali się wszystkich zasad, a dzieci, szczenięta i pisklęta cały czas musiały nosić mundurki szkolne. Kiedy pani Niecodzienna przechodziła tamtędy, siedząc na swojej przyjaciółce Żyrafińskiej, każdy odwracał za nią głowę i myślał dziwne rzeczy. Tak sobie wędrowała pani Niecodzienna na Żyrafińskiej, kiedy nagle przez przypadek, Żyrafińska potrąciła kopytem pewnego zająca, który właśnie wracał do domu z workiem marchewek. Pan Zając przewrócił się i stłukł sobie pupę, marchewki rozsypały się po ulicy, a worek wpadł do płynącego obok kanału. Pani Niecodziennej żal się zrobiło pana Zająca. Przeprosiła go i powiedziała, że idzie na drugi koniec miasteczka, i że bardzo chętnie podwiezie go do domu. Pan Zając myślał przez chwilę, aż w końcu zgodził się, głównie ze względu na wciąż bolące pośladki. Pani Niecodzienna zrzuciła mu sznurową drabinę, aby mógł się wspiąć. Wygodnie usadowił się z tyłu, a pani Niecodzienna wspięła się Żyrafińskiej na szyję i poprosiła, aby trzymała w pysku marchewki. Żyrafińska zrobiła tak, jak prosiła Niecodzienna i powędrowali dalej.

Zając okazał się być, co prawda ubranym w garnitur, ale niezłym żartownisiem. Co chwila on lub pani Niecodzienna wybuchali śmiechem. Żyrafińska starała się nie śmiać, aby nie wypuścić z pyska marchewek (całkiem dobrze jej to wychodziło), ale jeden żart okazał się być zbyt śmieszny...

Śmiech potoczył się echem po całym miasteczku. Żyrafińska wypuściła z pyska marchewki, które zaczęły spadać i wylądowały na balkonie pewnego lisa. Należy wam się parę słów wyjaśnienia. Otóż Pan Lis był niezwykle wytwornym lisem, który co poranek zwykł siadać na balkonie, czytać ulubioną książkę i popijać gorącą latte. Tego dnia było inaczej. Kiedy pan Lis siadł na leżaku i właśnie miał zamiar zacząć czytać, z nieba spadł deszcz marchewek. Jedna z nich wpadła do kubka pana Lisa i rozlała jego latte, lecz zanim zdążył krzyknąć: „Co się tutaj dzieje?“, następna marchewka uderzyła go w nos. Pan Lis zobaczył gwiazdki przed oczami. Pan Zając zeskoczył z Żyrafińskiej, aby pomóc w zbieraniu marchewek. Pani Niecodzienna skoczyła za nim. Wkrótce wszystkie marchewki znów wylądowały w pysku pani Żyrafińskiej. Pani Niecodziennnej udało się jakoś udobruchać pana Lisa, mówiąc mu, że może podwieźć go do pracy (przejażdżka na grzbiecie żyrafy była niezwykle rzadkością, a więc zgodził się). Nie chciał jednak rozstawać się z książką, więc powędrowała do pyska Żyrafińskiej, gdyż pan Lis musiał mieć wolne ręce, aby móc się trzymać. Powędrowali dalej.

Szli, szli i szli. Pan Lis był bardzo zadowolony z przejażdżki. Znów wrócił mu humor i wraz z panią Niecodzienną co chwila śmiał się z kawałów pana Zająca. Powoli zbliżali się do domu państwa Bzi-bziaków. Było go widać na horyzoncie. Obok stał dom pana Zająca i budynek, w którym pracował pan Lis. Nagle przed Żyrafińską wbiegła grupka dzieci wraz z młodymi kaczkami. Wszystkie trzymały w rękach i skrzydełkach skakanek. Najwyraźniej chciały przejechać się na Żyrafińskiej. Pani Niecodzienna nie potrafiła im odmówić i wkrótce na grzbiecie Żyrafińskiej siedziało trzynastoro dzieci, dwóch panów, jedna pani, a w pysku żyrafy tkwiło szesnaście marchewek, jedna książka i trzynastie skakanek.

Szli dalej. Pani Żyrafińska była nieco zmęczona i głodna, ale pomyślała, że są już blisko i da radę przejść jeszcze trochę. Głód jednak zwyciężył. Najpierw zaczęła zjadać marchewki. Potem ukochaną książkę pana Lisa. Później skakanki. Nikt tego nie zauważył oprócz pana Lisa. Wychylił się lekko, aby zobaczyć, jak daleko jeszcze do jego pracy. Gdy dostrzegł szczątki książki, spadające żałośnie z pyska Żyrafińskiej w dół, wpadł w furję.

Był o wiele bardziej zły niż wy, kiedy mama mówi, że koniec zabawy. Wtedy pewnie krzyczycie i tupiecie nogą o podłogę, prawda (mam jednak skrytą nadzieję, że tak nie jest)? Cóż, Pan Lis nie stał na podłodze, tylko na grzbiecie żyrafy, a że w tym miejscu nie ma miejsca na tupanie, wrzasnął i ugryzł Żyrafińską prosto w prawy poślad (piszę „poślad”, dlatego, że Żyrafińska nie miała małych pośladków, lecz duże POŚLADY). A że stracił okulary, po ugryzieniu Żyrafińskiej zaczął kłapać paszczą na oślep. Dzieci, nie mając pojęcia, co się dzieje, zaczęły wrzeszczeć. Pani Niecodzienna (gdy zobaczyła, co jest przyczyną wściekłości pana Lisa), wspięła się Żyrafińskiej na głowę, próbując ocalić chociaż jedną skakankę.

Nagle stało się to, co było kroplą, która przepełniła czarę goryczy. Pan Lis ugryzł pana Zająca w już okaleczoną pupę, przez co pan Zając okropnie wrzasnął. Cóż, pani Żyrafińska miała za sobą ciężki dzień, a po poprzednich wydarzeniach jej nerwy były tak napięte, że wrzask pana Zająca sprawił, że Żyrafińska wyrwała do przodu z ogromną siłą!

– Aaaaaaa! – Wrzeszczeli wszyscy.

Pani Żyrafińska nieubłaganie zbliżała się do płotu Bzibziaków, lecz nie dostrzegając tego. Groziło im zderzenie. Wszyscy zaczęli krzyczeć, aby Żyrafińska zwolniła, ale to nie poskutkowało. Byli już kilka metrów od płotu...

– Buuummmm!

Pani Żyrafińska dobiła do płotu i wylądowała na Bzibziakach, którzy akurat przygotowywali piknik w ogródku, zgniatając ich na dwa pulchne placki. Pani Niecodzienna, pan Lis, pan Zając i trzynastoro dzieci wylecieli w powietrze. Małe kaczuszki i dzieci popadały w kapustę. Pan Zając wpadł do komina, za nim pan Lis,

a za panem Lisem, jak wisienka na torcie lub korek na butelce, zatkała komin pani Niecodzienna. Pani Żyrafińska siedziała ogłupiała i patrzyła na to wszystko.

Pół godziny później wszystko było w miarę opanowane. Przyjechała policja, karetka pogotowia i straż pożarna, ponieważ Pan Lis był taki wściekły, że podpalił trawnik (nie pytajcie nawet jak). Poza tym trzeba było wydobyć Panią Niecodzienną z komina, w którym utknęła na amen.

Pan Zajac i Pan Lis przelecieli przez komin i wylądowali na podłodze w domu Bzibziaków, zostawiając na ich pięknym dywanie wielkie plamy sadzy. Pan Zajac, po otrzymaniu znieczulenia, czekał w karetce na dawkę nowej pupy, a Pan Lis (po oblaniu wodą) dostał nervosol i puszczono mu muzykę relaksacyjną. Z Panią Żyrafińską zrobiono coś podobnego, ale oprócz tego, dostała również garść bardzo dobrej zieleniny. Dzieciom (gdy wyciągnięto je już z kapusty) podarowano na pocieszenie lizaki i nowe skakanki (choć nie aż takie fajne, jak te stare, bo w jednakowym kolorze) i odesłano je do domów. Gdy pani Niecodzienna została wreszcie wydobyta z komina, oczyszczono ją z sadzy i posadzono na ławce. I wreszcie biedną panią Bzibziak i nieco mniej biednego pana Bzibziaka (Żyrafińska zgmiotła go tylko do połowy) starano się nadmuchać pompką do roweru, pożyczoną od jakiegoś gapia, który przejeżdżał obok.

Jakby tego było mało, ktoś podał tę sprawę do sądu. Skutki: sąd nie wiedział, co zrobić, a że wstał lewą nogą (Wyobraźcie sobie: tylu ludzi naraz miało tego dnia zły humor! Oczywiście to tylko bajka, więc tutaj było to możliwe) skazał wszystkich, którzy brali udział w tym zdarzeniu (oprócz dzieci) na wyprawdzkę z Cudakowa. A więc następnego dnia, markotni Lis, Zajac i Żyrafińska spakowali manatki i wyruszyli tą samą polną ścieżką...

Szli w milczeniu, a potem zaczęli rozmawiać o tym, co wcześniej przeżyli. Wtedy wydarzenia z poprzedniego dnia wydały im się okropnie zabawne i zaczęli się śmiać. Nagle uświadomili sobie, że brakuje pani Niecodziennej. Pan Lis i pan Zajac polubili panią Nie-

codzienną (mimo wszystko), więc wraz z panią Żyrafińską zaczęli ją nawoływać. I wtedy wszystko zaczęło się trząść...

Okazało się, że pani Niecodzienna jednak potrafiła trochę czarować, a jej domek ho, ho! miał KANGURZE łapy! I właśnie te kangurze łapy, wystające z dachu domku (był to w końcu domek do góry nogami), tak tupwały, że aż wszystko się trzęsło, a Lis, Zając i Żyrafińska (która jednak nie wiedziała o Niecodziennej wszystkim) podskakiwali w miejscu.

Nagle domek zatrzymał się. Pani Niecodzienna otworzyła okno i zawołała:

– Co tak stoicie? Wsiadajcie do środka, mamy okazję zwiedzić kawał świata!

Lis, Zając i Żyrafa radośnie podbiegli do okna i wskoczyli do wnętrza. Lis i Zając jeszcze co prawda nie byli u Niecodziennej, ale bardzo szybko się zadomowili. Lis znalazł sobie książkę i zaczął czytać, popijając przy tym kakao, a Zając zachwycił się domem pani Niecodziennej. Tymczasem domek dalej galopował, ile sił w łapach, aż w końcu gwałtownie stanął.

– Jesteśmy na miejscu! – zawołała wesoło pani Niecodzienna i wyskoczyła przez okno na ciepłutki piasek, podczas gdy domek z ulgą się w nim zakopał. Lis, Zając i Żyrafa wyrzeli przez okno i aż westchnęli z zachwyty. Wszędzie rozciągała się plaża i turkusowe morze. Zając wyskoczył przez okno, w pędzie zdjął i cisnął swój krawat na piasek i z okrzykiem „Juuuhuuu!” wskoczył do ciepłutkiej wody. Lis poszedł w jego ślady. Żyrafa rozłożyła sobie kilka ręczniczków na piasku i położyła się na nich wygodnie. Niecodzienna szczęśliwie patrzyła na ich trójkę a potem wspięła się na sporawą palmę, zerwała parę kokosów i poszła je przedziurawić oraz włożyć do nich słomki.

Moi drodzy, powoli dochodzimy do końca tej części opowiadki. Ale spokojnie, to jeszcze nie zakończenie ostateczne! Nasi bohaterowie mieli jeszcze wiele przygód, które trzeba opisać, a więc... ciąg dalszy nastąpi!

Maja Baron (Tubicka), kl. 8
Szkoła Podstawowa nr 307 w Warszawie

12 Questów Heraklesa **czyli parodia mitów greckich.** **Wężowy Potwór**

Zgłoszenie 2

Ogrody Demeter, tajemniczy śmiercionośny wąż, trujący oddech,
spomiędzy jego łusek wycieka tajemnicza,
czarna maź.

Jaskrawe promienie słońca odbijały się w oblepiającej liście rosie, rozświetlając jaśniejący tysiącami kolorów ogród; chmury powoli sunęły po niebie, jednak nawet ich nikła zasłona nie była w stanie powstrzymać budzącego się do życia małego świata.

Ptaki ćwierkały radośnie, przeskakując z gałęzi na gałąź, a małe ślimaki pięły się powoli po łodygach tulipanów; ciche bzyczenie pszczoł zdawało się unosić ponad łąką, otaczając ją bezpieczeństwem i rozwiewając wszelkie mroki znajdującego się za płotem świata.

Poranną sielankę burzyły jedynie gorączkowe szepnięcia i szeleszczenie jednego z pobliskich krzaków.

– Jesteś pewien, że to aby na pewno jest bezpiecznie? – zapytał go ukradkiem Achilles, sceptycznym spojrzeniem lustrując ustawioną przed nimi barykadę ze starych kartonów i worków po szmuglowanych kartoflach.

– Na pewno nie mniej niż twoje popisy na Czarnym Rynku – prychnął jedynie, ukradkiem wyglądając ponad niskim krzakiem, poprawiając założony na głowę durszlak i zaciskając dłoń na rękojeści miecza. – Jakies nowe wieści?

– Ostatni raz widziałam go tam, w zachodniej części – wyszeptala ostrożnie klęcząca obok nich Persefona, dla pewności jeszcze

wskazując im ręką na pobliskie grządki goździków. – Wił się między kwiatami i cuchnął jak Schowek.

– W takim razie mamy bardzo duży problem – westchnął Herakles, mrużąc oczy i wpatrując się w pokazany mu kierunku, usilnie starając się dostrzec chociaż odległe echo ruchu...

Aż za dobrze wiedział, że smrodu olimpijskiego Schowka nic nie jest w stanie przebić.

– Jaki jest nasz zapas broni? – zapytał jasnowłosy mężczyzna, jednocześnie wyciągając zza pasa potężną maczugę. – Ja mam takie coś, nasz drogi idiota ma miecz i ten dziwaczny worek...

– Nie worek, tylko pelerynę – sapnął z godnością, poprawiając narzucony na ramię zabrany szmuglerowi z Czarnego Rynku materiał. – Skoro mamy mierzyć się z czymś, co smrodem dorównuje Schowkowi, przyda nam się każda możliwa obrona...

– Mama zostawiła w ogrodzie grabie i motykę; idealna broń na odległość – przerwała im zniecierpliwiona szatynka, unosząc lekko dłonie zaciśnięte na metalowych narzędziach. – A poza tym może lepiej zacząłibyśmy działać, zanim to ten wąż odnajdzie nas pierwszy?

– To nie ja zacząłem – burknął Herakles, jednak po chwili syknął cicho, kiedy jego przyjaciel wbił mu łokieć pod żebro. – No dobrze, już dobrze. Przecież już idę.

Ostrożnie wyjrzał zza krzaka, po czym, zgięty w pół, pospiesznie przemknął przez otwartą przestrzeń i zanurkował za pobliski pniak, unosząc gotowy do ciosu miecz i rozglądając się uważnie dookoła; dopiero, kiedy upewnił się, że w okolicy nie widać niczego podejrzanego, kiwnął dłonią na swoich towarzyszy, przywołując ich do siebie.

Zaledwie kilka metrów od nich rozpoczynał się klomb pudrowych goździków, legowisko owego tajemniczego potwora; z jego miejsca obserwacyjnego wszystko wyglądało jak najbardziej w porządku...

Dopiero, kiedy zawiął wiatr, dotarł do niego smród zgnilizny.

– O fuj! – sapnął Achilles, z niesmakiem zasłaniając sobie dłonią nos. – Co to za świństwo tutaj przylazło?

– Gdybyśmy to wiedzieli, to tak bardzo byśmy nie uważali – sarknął Herakles, po czym jednak spoważniał w ułamku sekundy, odwracając się do czekającej obok nich Persefony i ukradkiem wskazując głową na ciągnące się niedaleko kwiaty. – Rozdzielimy się i okrążymy to coś, a później zabijemy. Ty pójdziesz z prawej, Achilles z lewej, a ja środkiem.

– Udanych łowów – rzucił jeszcze złośliwie jasnowłosy mężczyzna, zanim ostrożnie podniósł się z ziemi i pośpiesznie ruszył w kierunku odległego końca grządk.

Groza całej sytuacji dotarła do niego w momencie, kiedy został zupełnie sam, chroniony jedynie przez stary worek i założony na głowę durszlak; dopiero wtedy zdał sobie sprawę z tego, jaka mała jest ich szansa na przeżycie...

Odetchnął głęboko, po czym wymknął się zza krzewu i ostrożnie ruszył przed siebie, uważnie stawiając kolejne kroki i rozglądając się podejrzliwie dookoła; starając się ubiec każdy, chociaż najmniejszy ruch śmiertelnej bestii...

Drzewa szumiały delikatnie na wietrze, a jego nozdrza drażnił potworny smród rozkładającego się truchła; jak gdyby samym swoim odorem ostrzegając go przed nadciągającym niebezpieczeństwem...

Dłoń zaciskał nerwowo na rękojeści swojego miecza, rozglądając się niepewnie za każdym razem, kiedy tylko nieumyślnie miażdżone przez niego goździki szeleściły cicho; jak gdyby cały ogród żył swoim własnym życiem, nawet nie zdając sobie sprawy z grożącego mu niebezpieczeństwa...

Chociaż nikomu o tym nie powiedział, to w głębi duszy jednak obawiał się, czy ten tajemniczy potwór może w ogóle zostać pokonany.

Kto wie, co to za istota wydzielala tak potworny odór...

Pod jego nogą rozległo się ciche plaśnięcie, a smród uderzył w niego z nową siłą; cudem jedynie udało mu się powstrzymać cichy okrzyk, kiedy, spojrzawszy na ziemię, ujrzał poczerwiałą plamę jakiejś mazi...

Bestialski wąż był już niedaleko.

Bezwiednie uniósł swój miecz, pochylając się ostrożnie nad niskimi kwiatami i przeczesując wzrokiem terytorium, jego buty chrzęściły cicho w lepiałym się, dziwnie zgęstniałym płynie...

Dopiero przerażony krzyk Persefony wyrwał go z zamyślenia.

Bez chociażby chwili zastanowienia rzucił się przed siebie, nie próbując już nawet omijać rosnących dookoła niego kwiatów. Gdzieś tam był potwór, zagrażający życiu jego przyjaciół...

Z początku nie był w stanie uwierzyć własnym oczom, kiedy tuż przed nim spomiędzy liści wyłonił się gruby, brązowy wąż, z jego paszczy wypływała obrzydliwa maź, swoim smrodem zabijając ni-
kłą woń goździków...

Cichy świst opadającego miecza i odrąbany łeb potoczył się po ziemi. Ku jego przerażeniu jednak wąż nie przestawał wypływać z siebie posoki.

– Co to jest?! – krzyknął gdzieś niedaleko Achilles, do jego uszu co chwila docierało gorączkowe uderzanie potężnej maczety. – Cemu to coś nie ginie?!

– To nic nie da! – odkrzyknął mu Herakles, rzucając się biegiem w kierunku swojego przyjaciela. – Musimy znaleźć jego serce!

– A skąd ja mam niby wiedzieć, gdzie ono jest? – zapytał złośliwie jasnowłosy mężczyzna, jednak on już mu nie odpowiedział, rozglądając się gorączkowo po różowych grządkach...

Całe jego buty obklejone były cuchnącą mazią, gdzieś niedaleko Persefona wbiła swoją motykę w cielsko węża... Tym razem nawet nie zwracał uwagi na stękającego Achillesa, krzywiącego się w obrzydzeniu i starającego się odsunąć od odciętych głów najdalej, jak to tylko możliwe...

Wiedział, że pozostało im niewiele czasu, zanim trująca wydzieli-
na wyżre ich skórę i zabije.

Musiał działać, póki nie było jeszcze za późno...

Bez wahania wbił miecz w cielsko bestii, odrąbując jej kolejny łeb, po czym rzucił się biegiem wzdłuż brązowych łusek. Rosnące dookoła goździki smagały go po nogach, jednak on nie zwracał na to uwagi, jego buty zanurzały się coraz głębiej w cuchnącym błocie...

– Tutaj! – do jego uszu dotarł gorączkowy okrzyk Achillesa.

Odwrócił się gwałtownie i spojrział na swojego przyjaciela, wskazującego mu na wznoszący się niedaleko brązowy tułów. Jedynie kiwnął głową, po czym z bojowym okrzykiem rzucił się na swojego wroga, unosząc gotowy do ciosu miecz...

Jego ostrze przecięło skórę, odcinając korpus, od wciąż wysuwającego się z ziemi cielska...

Sunące po ziemi głowy jeszcze przez chwilę drgały w konwulsjach, zanim raz na zawsze zamarły bez życia na ziemi; powoli sącząca się z nich posoka wypłynęła, pozostawiając po sobie jedynie pustą skorupę...

Rozradowany Achilles krzyknął coś do niego, jednak jego głos zagłuszyło narastające bulgotanie, dochodzące z ukrytego w ziemi korpusu...

Zanim zdążył się zorientować, z odciętego ogona wystrzeliła cuchnąca, poczerniała maź, wznosząc się wysoko w niebo i opadając na nich w śmiercionośnym deszczu żrących kropel.

– Szybko! – wrzasnął, bez zastanowienia porzucając swój miecz i ruszając biegiem w kierunku swoich przyjaciół. – Za barykadę! Nie musiał nawet dodawać swoich ostatnich słów; Achilles i Persefona już zbliżali się do ustawionych za krzewem kartonów po kartoflach, rzucając na ziemię swoją broń, nie mając odwagi zmierzyć się z niezwyciężonym wrogiem...

Teraz cieszył się, że pomimo kąśliwych uwag jasnowłosego mężczyzny, wziął ze sobą hełm.

Z przerażeniem strząsnął z siebie czarne krople, po czym przeskoczył ponad barykadą i zanurkował w małym okopie, z trwogą wyglądając spomiędzy liści i przypatrując się krwawiącej bestii.

– Miałaś rację, ten wąż rzeczywiście jest przerażający – sapnął jego przyjaciel, wzdygając się bezwiednie i z obrzydzeniem ścierając z twarzy gęstą maź.

– Musimy wymyślić jakiś nowy pomysł – powiedział zdeterminowany Herakles, spoglądając na ukrytych za barykadą wojowników. – Straciliśmy naszą broń i jedynie rozwścieczyliśmy bestię, ale jeszcze nie przegraliśmy. Jak długo będziemy razem, uda nam się pokonać każdego potwora.

– Wciąż mamy jeszcze dur... – zaczął Achilles, jednak jego słowa zagłuszył dochodzący zza jego pleców rozwścieczony głos.

– A wy co żeście zrobili z moim ogrodem?! – krzyknęła rozwścieczona Demeter, wbijając swoje spojrzenie w ukrytą za krzakiem trójkę.

Zdecydowanie stanowić musieli dość niecodzienny widok; siedząc w okopie za kartonową barykadą, oblepieni czarną, cuchnącą mazią i z przerażeniem wpatrując się w krwawiącego węża. A co dopiero jeszcze zarzucony na jego ramiona stary worek i durszlak na głowie...

– Polujemy na dziką bestię, pani Demeter – powiedział dumnie Achilles, ukradkiem wyglądając ponad krzakiem i wskazując na tryskającą posokę. – Herakles odciął jej łeb, ale nic to nie pomogło. Musimy znaleźć jakiś inny sposób, żeby ją zgładzić.

– Próbowaliście zabić węża ogrodowego? – parsknęła kobieta, w jednej chwili wściekły wyraz twarzy zniknął, zastąpiony przez rozbawiony śmiech; jak gdyby nie zdawała sobie sprawy ze śmiertelnego niebezpieczeństwa...

– Ten wąż ma setki głów, a na ich miejsca odrastają kolejne – zapewnił pośpiesznie, poprawiając zsuwający mu się z głowy durszlak. – Z każdej z nich pluje tą trującą, gęstą posoką...

– Chłopcze – ryknęła śmiechem Demeter, ocierając napływające jej do oczu łzy rozbawienia. – To nie posoka, tylko gnojówka.

I chociaż w tej chwili jedyne, na czym był w stanie się skupić, była obklejająca go obrzydliwa, czarna ciecz, to jednak do jego głowy wkradło się jedno, podejrzliwe pytanie...

Co takiego znajdowało się w Schowku, skoro podobno śmierdziało w nim rozkładającą się gnojówką...

Hubert Wojtasiak (Asymondias), kl. 8
Szkoła Podstawowa w Jeżewie

Zwierzenia pewnego nastolatka...

Mam na imię Hubert i mam trzynaście lat. Mieszkam z siedmioosobową rodziną: mama, tata, babcia, trójka młodszych braci i ja. Ponieważ jestem najstarszy z rodzeństwa, żyje mi się najtrudniej. Obok mnie wymagający rodzice, wnerwiający bracia i babcia... akurat o babci złego słowa nie powiem. Ona jedyna mnie broni. Zacznę od mamy, bo jestem dżentelmenem. Moja mama jest zasadniczą i mało kompromisową osobą. Przede wszystkim nie pozwala mi normalnie żyć. Czuję się jak jakiś jaskiniowiec, ponieważ nie ma mowy, abym posiadał telefon, konto na Instagramie, snapchacie, messengerze, tik toku, nawet nie mogę mieć konta na youtube. Szok, że w ogóle mam maila. Aaaaa... zapomniałem dodać, że mój komputer ma blokadę rodzicielską! Czy może być gorzej?! Jeśli ktoś uważa, że nie, to zaraz udowodnię, że się myli. Moi koledzy grają cały tydzień, niektórzy co weekend, ale nie ja. Mogę grać w weekend i to co trzeci albo czwarty. Jest też druga opcja, czekać do wakacji lub przerw świątecznych. Moja mama uważa, że gry komputerowe za bardzo mnie rozpraszają i czas wolny mogę spożytkować lepiej. Pewnie i mogę, tylko, że wolałbym pograć.

Kiedy miałem siedem lat zapytałem mamę, kiedy będę mógł mieć swój telefon. Odpowiedziała mi, że gdy skończę osiemnaście lat. Wtedy myślałem, że to żart, ale teraz mam lat trzynaście, a telefonu nadal nie mam. Już wierzę, że to prawda. Nawet rodzice moich kolegów parskają śmiechem, gdy im o tym mówię.

Moja mama ma też więcej uciążliwych cech. Mianowicie, kiedy wychodzę z domu zarzuca mnie pytaniami: gdzie idziesz? z kim idziesz? o której wrócisz? masz bluzę? Krócej jestem poza domem, niż odpowiadam na te wszystkie pytania. Moja mama, jak ten Staś Pytalski „Co, gdy tylko się obudzi, pytaniami dręczy ludzi.”

Bo przecież, kiedy wracam ze szkoły to znowu pytania śmigają: jak tam dzisiaj było w szkole? wszystko dobrze? jakieś oceny? komuś podpadłeś? jak w klasie, coś nowego? Obiadu w spokoju przełknąć się nie da.

Jednak moja rodzicielka ma więcej wspaniałych pomysłów. Ciągle każe mi ścielić łóżko! Absolutnie tego nie rozumiem! W końcu i tak przez pół dnia nie ma mnie w domu, a nawet jeśli jestem, to głównie na dworze, bo przecież nie mogę grać na komputerze! Z kolegami też jestem poza domem, a wieczorem i tak będę musiał położyć się spać. Najpierw jednak muszę sobie zrobić łóżko. Po co mi to? To jest nie tylko bez sensu, to jest po prostu głupie.

Inną dość ważną sprawą jest mój czas wolny. Nie wiem jak ona to robi, ale moja mama zawsze znajdzie mi coś do roboty. Czasami myślę, że specjalnie robi mi na złość. Nie ważne jaki to dzień tygodnia to i tak muszę coś wykonać. Jak już pomysły się kończą, to zawsze pada magiczne hasło: „Posprzątaj swój pokój”. A ja myślę sobie – mój pokój, moje zasady.

Inną dość denerwującą rzeczą zdarzającą się mojej mamie jest wołanie na obiad. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby wołała mnie na posiłek. Tymczasem ona woła mnie 5 minut przed jedzeniem. Gdy już zejde, mówi, że mam nakryć do stołu, przynieść ogórki, rozlać sok i rozładować zmywarkę. A ja się zastanawiam, czy nie ma nikogo innego w tym domu?

Żeby nie było tylko jednostronnej oceny, to zauważam też zalety mojej mamy. Zawsze mówi prawdę – może nie o Świętym Mikołaju, bo wciąż mi wciska, że istnieje. Muszę przyznać, że jest w tym dobra, twierdzi, że Mikołaj chodzi tylko do grzecznych dzieci, a jak dzieci są niegrzeczne, to Mikołaj nie przychodzi i w takich domach ktoś zawsze musi się przebierać, ale nie u nas. U nas Mikołaj istnieje! Myślę, że wcisnę tę bajeczkę moim dzieciom. A tak serio, to moja mama zawsze szczerze potrafi ze mną porozmawiać. Nie oszukuje mnie nawet wtedy, gdy jest to dla niej niewygodne. Gdy mam problem, to ona pomaga mi go rozwiązać. Odpowiada też na wszystkie moje pytania.

Teraz czas na mojego tatę. Hmm... Niezaprzeczalnie jest super, ponieważ robi ze mną wiele fajnych rzeczy. Buduje ze mną skomplikowane obiekty z klocków Lego (prześcigamy się w tym w pomysłach), skleja ze mną różne modele, a czasem pozwala nawet pomajsterkować w jego garażu z użyciem „poważnych” narzędzi. Tata również, nie jest jak mama, przeciwny kupowaniu gier komputerowych, kilka nawet od niego dostałem. Nauczył mnie też jeździć na rowerze i łyżwach - co robimy razem do dziś. Choć z taty jest taki kozak... to czasami robi mi wielki obciach.

Pamiętam dzień rozpoczęcia roku szkolnego. Dojechałem z tatą na miejsce i tata mówi do mnie: „Kocham Cię!” Na co ja mu potakuję. Chcę iść już prosto na apel, ale nagle mój tata krzyczy do mnie: „A ty?”. Myślałem, że się zapadnę pod ziemię, wkoło wszędzie pełno ludzi. Ledwo powstrzymałem się od ucieczki. Przez zęby wycodziłem: „Ja też.” Oczywiście padło standardowe pytanie: „Ty też co?”. Oooooo zgrozo – rzuciłem: „Pa!” i zniknąłem mu z pola widzenia. Myślę, że robi mi to celowo, bawi go to, gdy ja się „gotuję”.

Innym razem, zapomniałem do szkoły śniadania, a tata – naprawdę nie żartuję – przyniósł mi je. Oczywiście nie czekał do przerwy, tylko wszedł do sali i bardzo kulturalnie, ale jednak głośno rzekł: „Przepraszam najmocniej, ale Hubert zapomniał śniadania, chciałbym mu je zostawić”. I koledzy to pikuś, tym razem pan od angielskiego, w swoim zabawnym stylu, nie dawał mi zapomnieć o sytuacji. Od tamtej pory nie zapominam już śniadania – ryzyko dostarczenia mi go jest zbyt wielkie. A zdecydowanie wolałbym głodować.

Jedno z gorszych dla mnie wspomnień, to chwila, gdy mój ojciec nazwał mnie przy moich ziomkach Hubusiem. Załamałem ręce, popatrzyłem na niego niedowierzając i odszedłem z kolegami, którzy rzecz jasna przez następny miesiąc zwracali się do mnie Hubuś. Jakżeby inaczej. A doskonale pamiętam, gdy pytałem rodziców dlaczego wybrali mi takie imię, odpowiedzieli wtedy, że podobało im się, ponieważ się nie zdrabnia. I na nieszczęście dla mnie okazało się, że jednak się zdrabnia. Jakoś wcześniej nikt na

to nie wpadł – no ale dzięki najlepszemu tacie pomysł się pojawił. Kolegów w ogóle przestałem zapraszać do domu, bo mój tata zawsze z czymś wystrzelił. Ile razy zwijali się ze śmiechu, a ja musiałem ich uspokajać. Prawie zawsze padało pytanie: „Chłopaki, a Hubert ma już dziewczynę?” No kto o to pyta? Żaden rodzic moich kolegów mnie o to nie spytał – a szkoda, byłoby mi lżej.

Z całą pewnością mój tata jest bardzo pomysłowy. Byłem w wakacje na dwutygodniowym obozie w Rowach. Było wesoło i generalnie podobało mi się, gdy nagle pojawiła się niespodzianka. Rodzice postanowili mnie odwiedzić! I chociaż tata nie chciał się przyznać, a mama nie chciała go wydać, to i tak jestem przekonany, że to był jego super pomysł. On już tak po prostu ma. Dyskretnie zapytałem mamę kiedy odjeżdżają. Odpowiedź była „fantastyczna”. Okazało się, że tatulek zarezerwował hotel, dziwnym zbiegiem okoliczności akurat w okolicy i zostaną jeszcze na 3 dni. Jak zaplanowali, tak zrobili – „skakałem ze szczęścia”, widząc ich w tym czasie codziennie. Cieszyłem się, gdy cała grupa mogła podziwiać wyczyny mojego taty w morzu i jego próby wejścia na pływający materac. To rzeczywiście był ciekawy widok.

W trakcie zdalnej nauki była masa filmów na YouTube jak ktoś wchodził w kamerkę w samej bieliźnie. Tak, mój tata też tak potrafi. Trwa lekcja polskiego, moja kamerka włączona i nagle widzę na ekranie mojego tatę „w majtach” szukającego słuchawek do telefonu. W tamtym momencie, na czacie wyskoczyło mi tyle wiadomości i emotikonów ze śmiechem, że nie dało się ich wszystkich przeczytać. Od tamtego czasu, jak tylko słyszałem kroki w okolicy pokoju, to wyłączałem kamerę.

Zawsze boję się, kiedy tata idzie na wywiadówkę, a zazwyczaj on chodzi, bo mama zmuszona jest iść do moich braci. Nie obawiam się tego, co powie nauczyciel, tylko tego, co powie mój tata. Raz zdarzyło mu się opowiadać o moich latach w przedszkolu i o tym jak naplułem koledze na szczoteczkę do zębów. Od zawsze zdradza moje tajemnice, a już na pewno te, które są kompromitujące. Zaczynam się przyzwyczajać. Gdy byłem mały i chciałem mu coś

powiedzieć, to zaczynałem: „Tatusiu, nie powiesz nikomu?” Odpowiadał: „Nie powiem”. I co? Zawsze komuś wygadał.

Jak wcześniej wspomniałem, mam trzech braci. Każdy z nich denerwuje mnie z innego powodu. Szymon – lat jedenaście we wszystkim mnie naśladuje i wszędzie za mną chodzi. Miłosz – lat osiem ciągle piszczy, nawet bez powodu. Błażej – lat pięć ciągle kabluje. Nieważne co zrobię, gdzie pójde, zawsze wszyscy wszystko wiedzą. Nawet w chowanego nie można się bawić. Jednakże to jedyne osoby, które mnie rozumieją. Mają te same zakazy i nakazy co ja. Czasem cieszę się, że mam rodzeństwo, bo mam towarzystwo do zabawy, rozmów, wspólnego spędzania czasu. Co prawda, nie zawsze chcą mnie słuchać, ale wierzę, że jeszcze zrozumieją swój błąd.

Czas z rodziną spędzam miło, choć każdy z nas się różni. Jeździmy w różne bardziej lub mniej ciekawe miejsca, ale zawsze jest to czas fajnie spędzony. Tata nie odpuści drogi bez żartów, a mama zawsze musi o coś zadbać. Jednakże czas nie musi być spędzany tylko poza mieszkaniem. Najlepiej jest, kiedy oglądamy wspólnie film albo kiedy wychodzimy na dwór, gramy w planszówki, lub zwyczajnie rozmawiamy. Bracia zawsze dotrzymują mi towarzystwa, co bardzo uatrakcyjnia czas, bo można porozmawiać o luźniejszych sprawach. Mam nadzieję, że te wakacje będą moimi najlepszymi.

Podsumowując, mam reżimową mamę, obciachowego tatę i szalonych braci. Mimo to bardzo ich kocham i nie zamieniłbym ich za nic w świecie. Każdy człowiek jest inny oraz każdy popełnia błędy, więc moi rodzice też mogą. Tak naprawdę nauczyłem się z tym obciachem żyć i z niego śmiać, a moi koledzy już przywykli, że tak mam. Z reżimem jest trochę gorzej, ale chyba każdy tak kiedyś miał. Jestem moim rodzicom wdzięczny, że ze mną są. Na dobre i na złe. Niedawno kolega opowiadał mi jak musiał w sądzie zdecydować, czy woli mieszkać z mamą, czy z tatą. Wtedy uświadomiłem sobie, że nieważne jak, ale razem.

PS. Spojrzenie na rodzinę z dużą dawką humoru, wydarzenia w większości wymyślone.

Oliwia Kubiszyn (Liv), kl. 8
Szkoła Podstawowa nr 1 w Lubaczowie
Stacja końcowa

styczeń 2085

Laboratorium śmierdzi chemikaliami znacznie bardziej niż zwykle. Nienawidzę tego zapachu. Za każdym razem kiedy go czuję, mam wrażenie, że za chwilę zwymiotuję prosto na czyjś śnieżnobiały fartuch, albo dopiero co umytą podłogę. Oczywiście, umytą największą chemią pod słońcem. Bo tak już jest. Ona jest wszędzie. Nawet w moich relacjach z innymi pracownikami. Czasami zastanawiam się, czemu jest jej w moim życiu tak dużo, skoro jej nienawidzę?

– Proszę pana? – nie zauważyłem, że moja asystentka jest już w pomieszczeniu. – Pan Soboń zwołał pilne spotkanie, nalega, aby jak najszybciej...

Nie czekałem, aż kobieta dokończy. Pospieszenie ruszyłem do gabinetu, w którym zwykle odbywały się ważne spotkania. Nie było tam, jak to zazwyczaj w pokoju narad, długiego stołu jedynie krzesła – tylko trzy. W zasadzie mogłoby ich nie być wcale, ponieważ i tak nikt z nich nie korzystał. Soboń zapewne wierzył w skuteczność nowych technik interpersonalnych. Podczas tych zebrań – dynamicznych, głośniejszych odnosiłem wrażenie, że trzymam w rękach cały świat. I mogę z nim zrobić co zechcę.

W niewielkim pomieszczeniu zebrało się już sporo osób. Każdy stał w skupieniu i notował coś w swoim małym dzienniczku. Tylko Soboń, mój szef, powitał mnie, gdy wszedłem. Zazwyczaj tego nie robił. Od razu pomyślałem, że chce mnie o coś poprosić. I tak było.

marzec 2089

Kiedy w 2084 roku prawie każdy kraj zaczął ścigać się w wielkich naukowych odkryciach, Polska siedziała cicho, nie miała na swoim koncie żadnych sukcesów. Soboń dostał od rządu pieniądze. Duże

pieniądze. Miał wolną rękę, ale musiał zrobić coś naprawdę dobrego. Coś, co na zawsze odmieni ludzkie życie i oczywiście przyniesie sławę, pieniądze i władzę. Ale on nie był w stanie niczego wymyślić. W przeciwieństwie do mnie, o czym doskonale wiedział.

Od razu, po styczniowym spotkaniu, zacząłem pracę nad swoim wielkim projektem.

Przez ostatnie cztery lata niemal codziennie harowałem od szóstej do dwudziestej. W tym samym czasie mój szef chwalił się na Instagramie tężyzną fizyczną lub wakacjami z rodziną. Powróciłem do pracy nad holistycznym badaniem czynników warunkujących długowieczność. Prace nad preparatem PRS8 na bazie białka enzymatycznego, które miało spowalniać proces degeneracji komórek organów wewnętrznych nabierały tempa oraz zaskakujących efektów.

maj 2089

Chemikaliaми śmierdziało już nie tylko laboratorium, ale całe moje życie. Teraz jednak mi to nie przeszkadzało.

Byłem odkrywcą.

Byłem lekiem.

Byłem zbawieniem dla tego nudnego świata.

Bo nic nie było w stanie dorównać temu, co stworzyłem.

To był lek na śmierć.

Od dawna wiedziałem, że to możliwe. W końcu, teoretycznie granica długości życia człowieka nie istnieje. Nie sądziłem jednak, że naprawdę mi się uda. Zmodyfikowany preparat PRS8 zadziałał. Zażywane regularnie przez kilka miesięcy tabletki spowodują, że ludzkie komórki przestaną się starzeć.

Wyobrażałem sobie reakcje tłumów. Ludzi, którzy na świecie znaczą tyle, co ziarno piasku na plaży. Myślałem, jak przedstawią mnie media. Widziałem oczyma wyobraźni nagłówki krzyczące: Człowiek geniusz. Człowiek, który zmienia wszystko. Wynalazca leku na śmierć. To miało nadejść już za kilka miesięcy, kiedy tylko wykonam parę brakujących badań. Byłem bardzo niecierpliwy, ale czas już nie grał swojej roli. Tydzień temu wziąłem pierwszą

tabletkę, za niedługo stanę się nieśmiertelny. Świat stoi przede mną otworem. Mogę rozpoczynać nowe projekty, zdobyć ogromną wiedzę, przeczytać każdą książkę i obserwować, jak wszystko powoli jest zastępowane przez coś nowego. Nie muszę się spieszyć... Czas?!

16 lipca 2089

Niewiele osób (nie licząc naukowców naszego instytutu) wiedziało o moim projekcie. Chciałem jednak już teraz, w przypływie hojnej łaskawości, podzielić się z kimś wiecznością. Podarować lek, zaproponować, aby wybraniec zaczął też zażywać moje tabletki. Ale to nie mógł być byle kto, lecz ktoś naprawdę wyjątkowy. Zdecydowałem się napisać do mojej profesorki wykładającej filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Poznałem ją podczas studiów i bardzo szanowałem. Od razu też polubiłem tą mądrą, niezwykłą kobietę.

18 lipca 2089

– A więc stworzył pan tabletki, które spowalniają śmierć?
– Pozwalają żyć wiecznie. – Poprawiłem ją spokojnie.
– I ja miałabym je wziąć? – Na twarzy starszej pani widać było szczere rozbawienie. Zupełnie tego nie rozumiałem. – Chyba pan nie mówi poważnie. Nie potrzebuję wieczności. Ja przeżyłam już swoje życie. Przeżyłam miłość, udaną karierę, mnóstwo sukcesów i dziesięć razy tyle niepowodzeń. Czy potrzebuję czegoś więcej?
Nie odpowiedziałem.
– W życiu najpiękniejsze jest jego krótkie trwanie i fakt, że mamy je tylko raz. Dlatego staramy się żyć jak najlepiej. Wykorzystać dany nam czas, odnaleźć sens, spełniać pragnienia. Rwijcie paki swoich róż póki jeszcze możecie! Pamiętasz? Oto jego urok, trzeba się spieszyć i zdecydować, co jest dla nas najważniejsze, jak chcemy iść przez życie. Szkoda mi ludzi, którzy tego nie rozumieją. Nic więcej już nie powiedziała. Uśmiechnęła się do mnie. Zdumiał mnie jej uśmiech, tak prawdziwy, promienny. Tak mógł uśmiechnąć się tylko ktoś naprawdę szczęśliwy.

Moja rozmówczyni powoli zaczęła odchodzić od stolika, przy którym siedzieliśmy. Stałem oniemiały. Skierowała się do wyjścia. Dopóki nie otworzyła drzwi, myślałem, że za chwilę odwróci się i wybuchnie śmiechem. „Ha! Przecież wiadomo, że tylko żartuję. Niech mi pan opowie więcej o swoich badaniach!”. Na początku chciałem ją zatrzymać. Przekonać, że powinna się zastanowić. Jak mogła mi odmówić?! Stwierdzić ot tak, że chce zrezygnować z takiej możliwości. Możliwości, którą ja sam jej daję... W jednej chwili zakotłowały się we mnie sprzeczne uczucia. Może się myliłem, może ta kobieta nie zasługiwała na moją uwagę. Była po prostu głupia. Bo jak inaczej można wyjaśnić jej zachowanie? Nie wybiegłem, żeby ją zatrzymać.

28 lipca 2089

Chciałem ją zrozumieć. Naprawdę.

Kiedy mój gniew minął, poważnie zacząłem zastanawiać się nad słowami kobiety. Skąd ona to wzięła? I co te słowa w ogóle znaczą? Kładłem się spać widząc przed oczyma jej uśmiech. Nie mogłem zasnąć. Nagle coś poczułem. Jakaś myśl cicho przemknęła przez moją głowę. „Szkoda mi ludzi, którzy tego nie rozumieją”. Chyba właśnie to powiedziała na odchodne staruszka. Co jest istotą człowieczeństwa? Na czym polega bycie człowiekiem?

„Przeżyłam miłość”

Wtedy zrozumiałem.

Bycie prawdziwym człowiekiem, to móc kochać i dzielić życie z innymi ludźmi. Przeżywać z nimi radości, ale też chwile cierpienia. Tęsknić za minionym czasem i wracać do wspomnień.

Na tym właśnie polega życie.

Na tym powinno polegać.

Wcale nie potrzebujemy nieśmiertelności, żeby być szczęśliwymi.

Nigdy jej nie potrzebowaliśmy.

Czy ja byłem szczęśliwy?

Nie. Nie byłem.

grudzień 2089

Lek okazał się być trucizną. Popełniłem błąd. Preparat PRS8 działał, ale skutki uboczne...

Na początku października zaczęły się bóle brzucha, potem także serca. Pod koniec listopada byłem już pewien, że coś poszło nie tak. Czułem się okropnie, pojawiały się fale gorąca, zaraz potem zimna. Ktoś coś do mnie mówił. Wieźli mnie do szpitala? Chciałem powiedzieć, żeby tego nie robili. Dali sobie spokój. Wiedziałem, że nic nie da się już zrobić. Chciałem wieczności, a teraz umieram z własnej pychy. Głupoty.

Człowiek zawsze będzie chciał więcej niż potrzebuje.

Chyba nigdy nie zrozumiemy, że stacja końcowa to śmierć.

Ilona Karasińska (Lumity), kl. 8
Szkoła Podstawowa nr 2 w Leżajsku
Złota Kula

Kiedy obudziła się i podniosła ciężkie powieki, wszystko wydawało się dziwne. Wiedziała, że istnieje od dawna, ale miała wrażenie, że dopiero powstała.

Jesteś we śnie kogoś innego...

Usłyszała głos. Nie wiedziała skąd pochodził, ale... był z zewnątrz i w niej. Powiedział to świat, lazurowe ściany, posępne obrazy wiszące na ścianach i stara, ciemna szafa. Powiedziały jej to ciemność i światło w pokoju. Powiedział to jej umysł.

Pamiętała, że śniła... Wie o czym... obrazy ze snu skróciły się, zamazały, skasowały. Nigdy ich nie było.

To dobrze. Spojrzała na swoje nogi, instynktownie, jakby ktoś to robił za nią. Jakby ona to robiła za kogoś. Na prawej nodze miała krwistą, szkarłatną skarpetkę. Przez chwilę wydawało jej się, że jej wzrok wkręcał się w materiał, przedzierał się przez pola czerwieni, czerwonej wody i szkarłatnego świata.

To jest sen kogoś innego.

Czerwony świat wycharczał to do niej. Ona powiedziała to do niego. Odwróciła wzrok. Spojrzała na fiołkowe ściany pokoju, w którym była. To się zmieniło. Ściany wcześniej były... fiołkowe. Znów zerknęła na swoją prawą nogę. Łazurowa skarpeta, która na niej była, wyglądała przepięknie.

Wszystko, co robiła, było transem. To myślała ona i ktoś inny. W ciemnym pokoju unosił się zapach kurzu.

Mimowolnie kojarzyło jej się to z rajem.

Paradise.

Jej umysł podsunął to słowo, mimo że zapomniała, co ono oznacza. Zrobiła krok. Kolejny. Ile zrobiła kroków? Czy zrobiła jakieś kroki? Zobaczyła, że jej stopa zaczyna tonąć w dywanie, pokrytym geometrycznymi wzorami. Stale się powtarzającymi.

Wciąż zmierzała do szafy. Szła tam ona, czyli ktoś inny.

Ja to ona.

Zatrzymała się przed jednym z otaczających ją obrazów.

Szarość. Ciemna, jasna. Szara.

Obraz pociągał ją. Na obrazie był pokój. Pokój z lazurowymi ścianami. Na środku była kula. Złota kula. W kuli był pokój. W pokoju dziewczynka. Atmosfera była spokojna, w pewien sposób mistyczna. Senna.

Obraz był jak coś, o czym pamiętała, kiedyś. Był znajomy, już kiedyś go widziała, to już...

Obraz zniknął. Nigdy nie istniał. Wymazał się, został zatracony. Zniknął.

Szafa wciąż była. Otworzyła ją, podświadomie czując, że niegdyś to czyniła.

W szafie ujrzała lustro. W każdym była ona. W każdym była inna. Jedna miała warkocze, druga kucyki. A ona... jak ona wygląda? Nie wie. Gdy patrzy w jedno z lusterek widzi siebie inaczej, niż gdy patrzy w drugie i trzecie.

Schyliła się. Coś jeszcze w ciemnej, mrocznej szafie zwróciło jej uwagę. Kula. Złota, srebrzysta, tęczowa kula. Patrzenie na nią działało hipnotyzująco, kula przekręcała się, zmieniała. Miała wrażenie, że się zmienia. Nie, ona zawsze wyglądała tak samo.

Mrok okrył jej ramiona. Wtuliła się w niego, w mrok, wydawało jej się, że to jej stary przyjaciel. Że już kiedyś to robiła. Mrok. Ciemność. Jak kula otaczająca ją, chroniąca uczucia, wygląd.

Złota kula była w kuli mroku.

Kula światła w kuli ciemności. Kula ciemności w kuli światła.

To jest twój świat.

Nie rozumie. Chodzi o kulę? Kula, mała, tym wielkim światem?

Nie rozumie swojej podświadomości, obejmującej cały ten pokój, cały świat.

Żyjesz w tej złotej kuli.

Czuła się, jakby powtarzała coś, co dawno usłyszała.

Jak świat może być w świecie? Coś nieskończenie wielkiego, w czymś nieskończenie wielkim.

Jak świat może być w złotej kuli? W małej złotej kuli.

Kula nieustannie powiększała się w jej oczach.

Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek było inaczej.

Zawsze jest teraz. Nigdy nie ma kiedyś. Nigdy nie będzie zaraz.

Pamięć może być błędna. Prawda może nie istnieć. Wszystko może być snem. Sen może być rzeczywistością, a rzeczywistość snem.

Nicość nie istnieje. Z własnej definicji nie istnieje. Nicość nie jest.

Nie istnieje, tym samym istniejąc. Będąc paradoksem.

Jesteś we śnie kogoś innego.

Ty sama to wymyśliłaś. Jesteś kimś, kto to tworzy. W pewnym sensie.

W pewnym sensie jesteś autorką samej siebie. Jesteś swoją podświadomością.

Wszystko zanikło. Wszystko zostało zapomniane, zamazane w pamięci i wykasowane.

Kiedy obudziła się i podniosła ciężkie powieki, wszystko wydawało się dziwne. Wiedziała, że istnieje od dawna, ale miała wrażenie, że dopiero powstała.

Jesteś we śnie kogoś innego...

Kategoria III

Szkoły ponadpodstawowe

Wiersze

Miejsce 1

87 Jakub Miklus: *Kłótnia*

Miejsce 2

87 Anna Wiktoria Biliczak: *Przechodzień*

Miejsce 3

88 Magdalena Homa: *Czarna pamięć*

Wyróżnienia

89 Iga Łobińska: *Podróż do...*

89 Izabela Pilarska: *Ostatnie pożegnanie*

90 Jakub Krok: *Itaka*

91 Oliwia Tryjańska: *Ballada o krzykliwym parapecie*

Opowiadania

Miejsce 1

92 Julia Nguyen Van: *Dziewczynka z aparatem*

Miejsce 2

99 Anna Świetlicka: *Odłamki porcelany*

Miejsce 3

107 Weronika Łopacka: *Kadisz*

Wyróżnienia

109 Julia Stańczak: *Głupich nie obsługujemy*

111 Zuzanna Matuszczak: *Zdążyć*

114 Jakub Krok: *No hay banda*

Jednoaktówka

1 miejsce

116 Jakub Krok: *Penteusz*

2 miejsce

123 Zuzanna Sujewicz: *Dorośle dzieci teatru*

3 miejsce

129 Małgorzata Ogonowska: *Girls chat*

Jakub Miklus (Miklusik), kl. 2
Samorządowe Liceum Ogólnokształcące
w Stalowej Woli

Kłótnia

Słowopociski
ostre jak diabelskie widły
miażdżyły mi język
wiły się w powietrzu
niczym agresywne węże
Słowa potykały się o zęby
przyspawane do siebie furia
Głos ostatnim dźwiękiem
zamarł w gardle
Blask łez uciszył
krzyk serca

Anna Wiktoria Biliczak (WiBi), kl. 3
Społeczne Językowe Liceum
Ogólnokształcące w Opolu

Przechodzień

Przechodzę przez życie
Jak przełazi się przez dziurę w płocie
Jak przechodzi się lekki katar
jednodziurkowy
I jak przechodzi się po linie
bez zabezpieczenia
między dwoma wieżowcami
Jestem przechodniem.
Przechodzę.
Tu

Magdalena Homa (MH), kl. 3
II Liceum Ogólnokształcące w Bielsku-Białej

Czarna pamięć

Powrócił
Lęk, niepewność, bezradność
Uprzytomnił się i niszczy
Rozbija mnie jak porcelanowy wazon
Tak delikatny
Tak czuły

Drobinki porcelany palące me łyzy
Wbijają się, kłują jak ciernie
Bezlitosne
Znów czuję się jak dziecko
Ta dziewczynka
Ta z czarnej pamięci
Zapłakana, zagubiona
Przerażona

Na powrót płaczę
Widzę jej kruche dzieciństwo
Bardzo wyraźnie
Siedzę w sieni i spazmuję
On rzuca stołem
Ona leży bezwładnie
Każe mi być cicho
Udawać, że nic się nie dzieje
Udawać, że wciąż żyję

Iga Łobińska (Ajdża), kl. 4
Międzynarodowe Liceum Ogólnokształcące
Paderewski w Lublinie

Podróż do...

Grzebień górk rysują
Niebo nad horyzontem

Zakurzone pola monotonnie ciągną się kilometrami,
Równoleżą szeregi oliwkowych drzewek

Porankiem wita mnie różowy Marrakesz
Oferuje cień palmowych parasoli

Miesza w swoim tygłku
zapachy i smaki ulicy

Energia placu Jamaa El Fna
Nie mieszcząc się w swojej przestrzeni,
Wcisnęła się w tłumy handlowych uliczek.

Ekstazy bębny długo nie milkną w nocy.
Nocne życie ukoi dopiero poranny śpiew Muezina.

Izabela Pilarska (Izzz), kl. 4
Zespół Szkół Ponadpodstawowych
w Zawadzkiem

Ostatnie pożegnanie

Jutro też jest dzień
I Godzina – Minuty – Sekundy –
Ranek – Południe – Wieczór,
Noc spowija.

Pewnego Dnia –
Nie otworzysz Oczu, a –
Dusza będzie Nimi
I... Będziesz tam Wysoko –
Obserwował Mnie – Oddali.

Po Tobie zostanie –
Słowo, i ta zabawna Pszczółka
I książka – Pełna –
Wzruszeń – zbyt trafna,
Zbyt opisująca, zbyt krucha.

Jakub Krok (Krokis), kl. 3
I Liceum Ogólnokształcące w Krakowie
Itaka

Itakę spowija ciężar ciemnych chmur
pełnych tajemnicy
Opakowana jest w zagadkę
zasklepiona brakiem odpowiedzi
Kiedy zagubiony wędrowiec puka do jej drzwi
rozpoznaje jego twarz i nie wierzy
Wróciłem do domu
krzyczy uporczywie samotny człowiek
Naprawdę wróciłem
Otwórzcie mi
woła
Wrota pozostają zamknięte
Odys siedzi na kamieniu
żałuje wojny
żałuje przygody
żałuje podróży
żałuje wszystkiego co nie jest Itaką
Gdzieś za drzwiami na kamieniu siedzi Penelopa

nie wierząc oczom Odysa
nie wierząc jego twarzy
nie wierząc jego krzykom
nie wierząc w jego powrót
Na zimnych kamieniach płaczą

Oliwia Tryjańska (Tryja) kl. 3
VII Liceum Ogólnokształcące w Szczecinie
Ballada o krzykliwym
parapecie

Wpierw stanęłam na łożu
Ach, wyobraźcie sobie,
Na łożu miękkim jak puch

Potem łapiąc za zimną klamkę i patrząc przez szybę.. Dojrzałam.
Żałujcie,
Żałujcie, żeście nie widzieli,
Jak żółte lampy rozkwitają w mroku spokojnym.
Żałujcie!

Otwierając okno o barwie białej,
Zawiał wiatr, kołysząc naturą dla atrakcji małej
Widziałam kogoś – spacerował on niby niewinnie.
I co słyszałam? Chwilowo oddechem zamarłam.
Melodia krzyku szlochem zagłuszona nienagannie.

No naprawdę,
Naprawdę,
Słyszałam umieranie.

**Julia Nguyen Van (Ranna Cebula), kl. 3
I Liceum Ogólnokształcące w Jaśle**

Dziewczynka z aparatem

Znowu tu siedziała. Siedziała na tej ławce i wpatrywała się w przestrzeń, jakby nie miała nic innego do roboty. Na jej kolanach leżał aparat, ale nie robiła zdjęć. Trzymała w ręku notatnik i długopis, ale nic w nim nie pisała. Z kieszeni wystawała jej paczka orzechów, ale ich nie jadła. Nawet nie schyliła się, by zawiązać sznurówki butów. Jedyne jej ruch, jaki Anna mogła uchwycić, to szybkie i precyzyjne odgarnięcie ciemnych włosów wpadających do oczu po kapryśnym podmuchu wiatru. Jeden zawsze wystarczał. Nie marnowała energii na nic innego. Nawet na tak kuszące dyndanie nogami, które jeszcze nie sięgały ziemi.

Anna nawet nie wiedziała, na jaką część przestrzeni ta dziewczynka się gapi. Nie na budynki przed nią, nie na drzewa rosnące obok, nie na przejeżdżające samochody, nie na innych ludzi, nie na ptaki, nie na trawę, nie na niebo, na nic. Jakby patrzyła się w powietrze. Wirującą w nim cząsteczkę tlenu czy azotu. Drobinę kurzu, która ani się nie unosi, ani nie opada. W każdym razie, na coś, co nie ruszało się za szybko. Zmęczyłaby się ciągłym wodzeniem wzrokiem za czymś takim.

Siedziała tu zawsze rano, kiedy Anna szła do szkoły. Jak wracała ze szkoły, też siedziała. Później, gdy Anna jechała tramwajem na zajęcia z baletu, też siedziała. Tym razem już w kurtce. A gdy Anna wracała do domu – dobry losie – nadal siedziała na tej brązowej ławce, patrząc się wciąż w jedno i to samo miejsce.

Anna pytała się innych ludzi o dziewczynkę. O dziwo, nie zwariowała, inni też ją widzieli. Tylko nie wydawali się równie zainteresowani jej osobistością. Dla nich ta dziewczynka była po prostu dziewczynką na ławce. Nic nadzwyczajnego. Ale Anna jej wcale tak nie traktowała. Przecież jakie normalne dziecko w jej wieku siedzi na ławce całymi dniami. Zrozumiałaby emerytkę, ale to... to dziecko... napawało ją niepokojem.

Musiała ją zbadać. Do tej pory wstrzymywała się z bezpośrednim kontaktem, znając ją tylko z obserwacji, ale to była tylko kwestia czasu, kiedy Anna podeszła i zagadała do niej.

– Nie boisz się, że cię ktoś porwie? – Za tymi paroma słowami kryła się cała powieść wewnętrznego dialogu, którego dziewczynka raczej nie miała szansy usłyszeć.

– Nie.

Dobry start. Odpowiedziała coś. Anna usłyszała jej głos. Sporządziła notatki w myślach.

– Nie chodzisz do szkoły?

– Nie.

Zanotowane.

– Chce ci się tu siedzieć cały czas?

– Tak.

Nowe słowo. Anna robiła postępy.

Usiadła obok niej i próbowała powędrować wzrokiem tam, gdzie się patrzyła. Z tej perspektywy mogła dokładnie zaobserwować, co tak bardzo przykuwało jej uwagę. Szpital. Białe budynki trochę zasłonięty przez ścianę drzew. Anna pokręciła głową. Kolejne porzucone dziecko.

– Co to za notes?

Brązowy kołonotatnik w linie. Zamknięty.

– Mój.

Rzeczywiście nie marnowała swojej energii. W takim razie Anna też nie będzie jej tak łatwo zużywać.

– Wracam tu jutro. – Wstała z ławki. – Przygotuj się na rozmowę. Chcę jasnych i zrozumiałych odpowiedzi. Dobra?

– Tak.

Anna wróciła do domu, ciesząc się ze swojego postępu. Pierwszy krok za nią. Uśmiechnęła się butnie.

Dotrzymała obietnicy i nazajutrz też pojawiła się przy dziewczynce. Tym razem nic nie mówiła, bo od razu zajęła się badaniem jej odruchów. Lekko dźgała ją palcem w ramię, łapała ją za dłonie,

machiała ręką przed twarzą. A ona nic. Jak kamienna statua. Jedynie, co nowego Anna się dowiedziała, to to, że dziewczynka była beznadziejna w bitwie na oczy.

– Co masz w notesie? – powiedziała w końcu, kiedy skończyła swój eksperyment.

– Zdjęcia.

– Jakie?

Cud. Dziewczynka ścisnęła mocniej notes i uniosła go na kilka centymetrów. Trybiki w głowie Anny zaczęły pracować jak szalonne. Odblokowało się jej właśnie tysiące nowych scenariuszy.

Na twarzy dziewczynki pojawił się wyraz zawahania. Obróciła głowę i spojrzała Annie w oczy. Kolejny cud; nareszcie Anna zaczęła dla niej istnieć.

– Jak masz na imię?

Jak śmie. Przecież to nie ona zadaje tu pytania.

– Anna. – I tak jej odpowiedziała. Nie należy zniechęcać obiektu, który właśnie zaczął wykazywać jakąkolwiek chęć współpracy.

– Róża.

Aż wzięło Annę na mdłości. Nie ma mowy, żeby to słowo przeszło przez jej gardło.

Dziewczynka uniosła notes bliżej Anny, by mogła widzieć go dokładniej.

– Zrobiłam je moim aparatem. Robię zdjęcia tylko tym najfajniejszym i najważniejszym rzeczom. Takim, przez które się uśmiecham.

Anna myślała, że zaraz jej duch opuści jej ciało. Dziewczynka mówiła. Pełnymi zdaniami, zrozumiale, z dobrym słownictwem. Przyprawiało to Annę o takie dreszcze, że nie wiedziała, czy nadążyć z zapisywaniem informacji w swojej pamięci. A wystarczyło tylko jedno słowo, jej imię, żeby odblokować pełną współpracę. Dziewczynka pokazała pierwszą stronę notesu. Była na niej przyklejona fotografia jakiegoś białego domu, podpisana jednym prostym tytułem: „domek”, pisanym koślawymi literami. Anna zano-

towała przypuszczenie. Prawdopodobnie miejsce zamieszkania dziewczynki.

Kolejna strona, kolejne zdjęcie. Motyle w słoiku, niebieskie, z tytułem „motylki”. Annie złamało się serce. Miała nadzieję, że dziewczynka zmądrzała i już nie więzi biednych stworzeń. Niestety, milczała przez całą swoją prezentację cennych zdjęć, a sama też nie chciała jej przerywać.

Anna zapamiętywała każdą stronę notesu. Treść zdjęć, detale, koślawość liter. Dziewiąte zdjęcie otrzymało pełen entuzjazmu komentarz dziewczynki.

– Orzeszek!

Jakże ekscytujące słowo „orzeszek” okazało się imieniem uwiecznionej na zdjęciu rudawej wiewiórki, biegnącej po trawie przy chodniku, tym samym, na którym Anna właśnie trzymała stopy.

– Orzeszek zawsze do mnie tu przychodził, bo karmiłam go orzechami. – Złapała paczkę wystającą z jej kieszeni. – Ale ostatnio go nie widziałam. Może poszedł do innego parku.

Anna przytaknęła ze zrozumieniem. Przeniosła wzrok na ruchliwą ulicę obok niej. Postanowiła zachować drastyczną hipotezę dla siebie.

Dziewczynka zamknęła notes.

– A następne zdjęcia? – dopytała Anna.

– Chcę zrobić zdjęcie mamie.

– Nie miałaś już jednego?

– To będzie inne.

Anna oparła się o ławkę i wbiła wzrok w szpital. Domyślała się, o co może jej chodzić. Uznała, że na następne spotkanie będzie musiała wziąć swój własny notes.

Następnego ciepłego popołudnia Anna przyniosła dziewczynce niebieskiego motyla z papieru. Własnoręcznej roboty.

– To dla ciebie.

Oczy dziewczynki rozbliły.

– Dziękuję!

Wzięła go do rąk i obejrzała misternie wykonane wzory na skrzydłach, ich plamki i odbłaski. Anna wyczuła w jej głosie zmianę tonu. Usiadła obok i zaczęła notować w swoim notesie.

- Jest śliczny! – dodała.
- Cemu tak tu siedzisz?
- Czekam na mamę.
- A twój ojciec?
- Też.
- Cemu nie czekasz z nim?
- Nie chcę.

Jej entuzjazm zmaliał do jednego punktu. Znów zapatrzyła się przed siebie, opuszczając papierowego motyla na kolana. Długo-pis Anny znów poszedł w ruch. Powoli zaczęła składać całą jej historię w całość.

- Jak długo tu siedzisz?
- Nie wiem.
- To znaczy, ile godzin dziennie.
- Nie wiem.

Anna się poddała. Musiała przyznać, ciągłe zasypywanie obiektu badań pytaniami nie należało do pomyślnych sposobów potwierdzania hipotez. Powinna dać jej chwilę wytchnienia.

Wstała z ławki i poszła do domu. Kolejnego dnia minęła ją tylko na ulicy. Odważyła się podejść kilka dni później, po lekcjach, kiedy to dziewczynka, ku jej zaskoczeniu, po raz pierwszy rozpoczęła spotkanie.

- Aniu! – zawołała. – Orzeszek przyszedł!

Czyli jej ponura hipoteza się nie sprawdziła. Anna usiadła na ławce i spojrzała na małą wiewiórkę siedzącą na kolanach dziewczynki. Wyjadała orzechy prosto z opakowania.

- Uroczy – skomentowała, odnotowując jego wygląd w notesie.
- Po chwili patrzenia na zażerającą się przysmakami wiewiórkę, niezwykle zajmującą jej zdaniem, Anna znów zabrała głos.
- Nie mów mi „Aniu”.
 - Dlaczego?

– Bo nie mam na imię Anna. – Widząc, jak dziewczynka nabiera wdech, by coś powiedzieć, pospieszyła z wyjaśnieniem. – Nie jestem Anna, tylko Florianna. Moi rodzice mają bzika na punkcie kwiatków. Mają na imię Hiacynta i Narcyz. Siostra to Kalina. Ble. – Wystawiła język z obrzydzeniem. – Jak tylko się wyprowadzę od rodziców, zmieniam imię na jakieś normalne. Kaśka może.

Dziewczynka się zaśmiała, tak ładnie i czysto. Anna błyskawicznie sięgnęła po długopis i zapisała wszystkie szczegóły jej śmiechu.

– A masz na nazwisko Kwiatkowska? – zażartowała.

– Nie, na szczęście. Tak to bym się już zachłastała dawno.

Tym razem Anna pozwoliła sobie na śmiech. Z czasem i on powoli wygasł. Orzeszek uciekł z kolan dziewczynki, kiedy skończyły mu się orzechy, tak jak Anna wstała z ławki i poszła do szkoły, kiedy skończyły jej się tematy do rozmów.

Po szkole jeszcze na chwilę do niej zajrzała, tak krótką, że nie chciało jej się nawet usiąść.

– Będiesz jeszcze długo tu siedzieć?

– Mam nadzieję, że zdążę przed jesienią.

Tę informację zanotowała w głowie.

– Chcesz może iść na spacer?

– Nie. Czekam na mamę.

Spodziewała się takiej odpowiedzi. Tego, czego się nie spodziewała, to uzasadnienia wypowiedzianego bez żadnej zachęty z jej strony.

Mijały kolejne dni, kalendarzami i pogodą dając do zrozumienia, że zbliża się lato, a po lecie ta jesień, owiana niepewnością. Anna starała się co kilka dni odwiedzać dziewczynkę na ławce i wyciągać jak najwięcej informacji, aż w jej notesie powoli ubywało karetek. Zaliczyła już pierwsze małe dyndanie nogą, złapanie za rękę, niewielki przytulas. Z dumą Anna mogła stwierdzić, że całkiem ożywiła swój obiekt badań. Była coraz bliżej końca swojego eksperymentu, ale nie sądziła, że nadejdzie tak niespodziewanie, aż zapisała wszystko, co widziała w tym dniu, z taką dokładnością, żeby go nie zapomnieć.

Słońce prażyło chodnik i ulice; całe szczęście ławka stała w półcieniu. Anna siedziała na ławce i wpatrywała się w jedną jedyną małą chmurę płynącą leniwie po niebie. Tym razem zmusiła się, żeby zostać, mimo że nie rozmawiały już o niczym. Anna mogła śmiało powiedzieć, że wiedziała już wszystko, co było jej potrzebne.

Chmura właśnie zaczęła formować się w wiewiórkę z nadwagą, kiedy rozległ się dźwięk. Momentalnie głosy ludzi, przejeżdżające samochody, szum drzew, kroki na chodniku – ucichły dla Anny całkowicie. Tylko ten dźwięk, przepiękny dźwięk migawki aparatu zamieszkał w jej umyśle i rozbrzmiewał echem w całym jej ciele. Spojrzała w dół, szukając szpitala między gęstwiną drzew. Przecież nikt nie schodził po szpitalnych schodach. Annę, mimo temperatury, całkiem zmroziło.

Powoli odwróciła się w bok, jakby miała coś niezwykle kruchego na głowie. Zobaczyła dziewczynkę trzymającą swój różowy aparat, celującą w nią obiektywem. Z aparatu powoli wysuwało się zdjęcie. Dziewczynka poczekała, aż pojawi się na nim obraz i przykleiła je taśmą do swojego notesu. Sięgnęła po ołówek z kieszeni i napisała pod nim „Anna”.

Lecz to dopiero teraz Annę ogarnął szok, który odebrał jej dech. Dziewczynka wstała z ławki i stanęła na chodniku. Jej chude nogi w ogóle nie drżały, jakby rzeczywiście miały siłę ją unieść. Poprawiła swoją spódnicę, otrzepała się z kurzu i odwróciła się do Anny. – To chodźmy na ten spacer. – Wyciągnęła rękę.

Anna musiała dojść do siebie. Wzruszona, złapała Różę za dłoń, która poprowadziła ją drogą do parku.

**Anna Świetlicka (Henry Monet), kl. 1
II Liceum Ogólnokształcące w Jaśle**

Odlamki porcelany

Słońce dawno zaszło za horyzontem, pozostawiając za sobą deszcz i wichurę. Pomimo ciemności panującej na zewnątrz, na parkowej ławce siedział nastolatek. Zgarbiony, z podkulonymi nogami, naciągnął na głowę kaptur kurtki i westchnął głośno. Nie chciał wracać do domu, wiedząc, że pod jedną ze ścian jego pokoju stoi pianino. Piękne, stare pianino, w którego żółknięte klawisze trzeba było uderzać z całej siły, aby wydobyć dźwięk. Instrument ten był jego przekleństwem – czymś, czego nienawidził i jak mu się wydawało, miał nie znosić do końca życia.

Niespodziewanie telefon w kieszeni jego dresów zawibrował, powiadamiając go o nowej wiadomości. Chłopak niespiesznie sięgnął po sprzęt, a gdy odczytał SMS-a od swojej mamy, prędko wystukał odpowiedź. Podniósł się z ławki, wyprostował plecy i poprawił plecak luźno zwisający z ramienia. Przyznał przed sobą, że nie ma siły na ćwiczenie utworu, który go nużył.

Diego zrzucił tornister nieopodal biurka, jednocześnie sięgając do klapy pianina. Otworzył ją delikatnie, wiedząc, że zawiasy są już bardzo zardzewiałe i mogą się łatwo zepsuć. Na pulpicie ustawił plik nut, które bezgłośnie grały melodię. Zamiast natychmiast zacząć swój koncert, postanowił najpierw rozgrzać się etiudami. Zmieniał gamy, dynamikę i artykulację. W końcu był gotów, aby ponownie zmierzyć się ze swoim największym koszmarem na jawie – *Sonatą No.16* Mozarta.

Grał osobno takty, które sprawiały mu najwięcej trudności. Koordynował ręce, kiedy musiał zagrać triole i szesnastki. Marszczył brwi, jeśli mylił dźwięki. Zagryzał wargę, jeżeli za późno naciskał pedał. Zmieniał dynamikę, eksperymentował z nią, w duchu czując się jak niewolnik – chciał być najlepszy, a jednak pomimo go-

dzin ćwiczenia i uczęszczania do szkoły muzycznej, w jego grze dalej nie było słychać ani krztyny profesjonalizmu.

Gdy postanowił, że połączy wszystkie wyćwiczone partie i ostatni raz zagra cały utwór, nagle jego palce ponownie uderzały w nieodpowiednie klawisze, nacisk na pedał był zbyt lekki, a pamięć mięśniowa go zawodziła. Dla postronnego słuchacza utwór był zupełnie niewyćwiczony i niegodny zaprezentowania.

Rozzłoszczony podniósł się z ławy i z furią trzasnął klapą pianina, która przeraźliwie zgrzytnęła podczas opadania. Chciało mu się płakać z bezsilności. Czuł, że nie jest nic wart, a czas, który przeznaczył na grę, był bezowocny. Rzucił się na łóżko i krzyknął w poduszkę, aby pozbyć się gniewu. Nikt nie mógł go winić, gdy uрониł pierwsze łyzy, a jego własny szloch utulił go do snu.

Obudził się, gdy poczuł pod swoimi plecami zimną podłogę. Domyslił się, że musiał spać ze swojego łóżka podczas snu. Jego zdziwienie było więc ogromne, gdy otworzył oczy i zorientował się, że wcale nie leży w swoim pokoju, a na sterylnie białym korytarzu. Przypominał mu szpital, w którym znalazł się, gdy złamał sobie rękę podczas jazdy na łyżwach. Tamtego dnia Diego wypłakał chyba wszystkie łyzy – nie mógł grać na pianinie przez długi czas. Teraz zaś chłopak ponownie wszedłby na taflę lodu, byleby pozbyć się uciążliwego obowiązku gry.

Hol był długi i prosty, nie kończył się w miejscu, do którego sięgały oczy Diega.

W białych, chropowatych ścianach znajdowały się drzwi z tabliczkami. Na każdej z nich została zapisana inna data. Skonfundowany nastolatek podszedł do pierwszych jasnych drzwi i przekręcił srebrną gałkę, wcześniej zauważając w niej swoje odbicie.

Nie był już radosnym blondynem, który odchyłał głowę, gdy się śmiał. Nie pokazywał już swoich zębów na zdjęciach, aby podkreślić swój uśmiech. Nie nosił zabawnych koszulek z postaciami z gier video. Jego włosy ściemniały, przybrały niemal brązowy odcień. Pod niebieskimi oczami uformowały się ciemne sińce – ozna-

ka chronicznego przemęczenia. Zakładał tylko koszulki w stonowanych kolorach, a jednocześnie na jego barkach często znajdowała się marynarka od garnituru.

Gdy tylko pchnął mosiężne wrota i postawił pierwszy krok w kierunku pomieszczenia, do którego prowadziły, poczuł, że zaczyna spadać. Nie zdążył nawet krzyknąć, a już stał w swoim pokoju. Zupełnie tak, jakby się obudził ze śnieżnobiałego koszmaru. Jednak chwilę później zwrócił uwagę na plakaty na ścianach, które nawiązywały do jego ulubionych postaci z bajek. Panował tu ogromny nieporządek, a pianino wyglądało zupełnie tak, jak wtedy, gdy je dostał.

Wtedy Diego zrozumiał, że owszem, stoi w swoim pokoju, ale było to tylko jego wspomnienie.

Nagle drewniane drzwi skrzypnęły, a do pomieszczenia wbiegł mały, sześciolatek chłopczyk. Gdy ujrzał nowy instrument, nieświadomie rozchylił usta i rozszerzył oczy. Wtem zaczął podskakiwać w miejscu i uśmiechać się do rodziców. Podbiegł do mamy i przytulił się do jej nogi w wyrazie wdzięczności za podarunek.

Mały Diego ucieszył się z prezentu urodzinowego, ponieważ wiedział, że gra na pianinie jest tym, do czego został stworzony – wyładowywał na nim pokłady swojej dziecięcej energii, ale czuł się również zrozumiany, gdy grywał przygnębiające utwory po kłótni z rodzeństwem.

Teraz nie potrafił cieszyć się na widok instrumentu, który kiedyś był częścią jego duszy. Wnet poczuł żal do małego siebie – czy byłby w stanie podejść do swojej młodszej wersji i powiedzieć jej prosto w twarz, co myśli o pianinie?

Niespodziewanie poczuł, jak niewidzialna siła zaczyna go przyciągać i nim się obejrzał, znów znalazł się w śnieżnobiałym korytarzu. Podszedł więc do kolejnych drzwi, które, jak mu się wydawało, przeniosły go do jego pierwszej lekcji fortepianu.

Usiadł na parkiecie znajdującym się w auli. W pokoju stał przepiękny, czarny fortepian. Promienie słońca padały na klawiaturę, coraz bardziej kusząc małego Diega do dotknięcia ich smukłymi palcami.

Chłopak pamiętał ten dzień jak przez mgłę. Jednak nagle zalała go fala pozytywnych emocji – zupełnie jakby współodczuwał ze swoją młodszą kopią. Znowu czuł ekscytację, chęć do pracy nad swoją grą. Był zainspirowany, a jednocześnie z przejęcia nie mógł usiedzieć na ławie. Uśmiechał się od ucha do ucha, czerpiąc nadzwyczajną radość z zagrania gamy C-dur. Diego chciał myśleć, że kiedyś był zwykłym, naiwnym dzieckiem, które nie wiedziało, jak ciężka praca go czeka. Powstrzymywały go jednak bezbronność i szczerą radość chłopca, na którego spoglądał. Po części sądził, że to było piękne – uczynienie fortepianu jednym z filarów swojego życia.

Jednak jeżeli coś przynosi nam szczęście, niespodziewanie może zamienić się w źródło naszego cierpienia.

Nogi same prowadziły go korytarzem do różnych pomieszczeń – natrafiał na swoje popisy w szkole muzycznej, konkursy międzynarodowe, ale też najzwyklejsze pokazy swoich umiejętności przed rodziną. Serce Diega najpierw rośło z przerażenia, strachu przed porażką, ocenianiem. Lecz już po występie przepełniała je duma. Duma z czegoś, co wydawało się odległe, czasami niewykonalne. Duma z oklasków i słów pochwały, na które sam sobie zapracował systematycznością i determinacją. Ale Diego miał też pasję, wybijającą go ponad wszystkich innych uczniów. On *czuł* utwory, a nie tylko zmieniał tempo i głośność.

Nagle, zamiast tak dobrze znanych mu pomieszczeń, znalazł się w wielkiej sali przepełnionej ludźmi, której nie mógł rozpoznać na pierwszy rzut oka. Dopiero z czasem połączył fakty i zorientował się, że odwiedził wspomnienie związane z szesnastymi urodzinami swojej kuzynki.

Czternastoletni Diego nie bawił się na parkiecie, bo nie czuł się komfortowo w takim tłoku. Stał nieopodal pianina, myśląc, czy nikt nie miałby do niego pretensji, jeśli zacząłby grać. Jednocześnie wiedział, że nie przyszedł na imprezę, aby ćwiczyć na instrumencie.

– Diego! – zawołała jego kuzynka Anika – Zagraj nam coś. Muzyka ze składanki robi się coraz nudniejsza, coraz więcej osób przestaje

tańczyć. Chcę, żeby każdy wyszedł stąd zadowolony, a wcale się na to nie zanosì.

– Nie wiem, co miałbym zagrać – taka była prawda. W końcu jego repertuar był w dużej mierze złożony z klasycznych, przestarzałych utworów, a nie z nowiutkich hitów internetu.

– Och, na pewno dasz radę coś zagrać. Nie znasz żadnego popularnego utworu? Na przykład jakiejś piosenki Harry’ego Stylesa albo Dawida Podsiadły?

Diego pokręcił głową. Wtedy wpadł na ryzykowny pomysł. Nim zdążył go dobrze przemyśleć, odparł:

– Ale mogę zaimprovizować.

Wcześniej jeszcze nigdy nie podjął się takiego wyzwania – zaimprovizować w pomieszczeniu pełnym ludzi, którzy z uwagą słuchają tego co gra. Oprócz zwykłego przekazania emocji w swojej muzyce, musiał jeszcze zachęcić innych, by również poczuł to, co on. Obawiał się, że tylko się zbłąźni, siadając przy pianinie, ale nim się obejrzał jego palce same znalazły odpowiednie klawisze, aby się rozgrzać.

Po chwili muzyka z głośników ucichła. Na sali zapanowała uciążliwa cisza, przerywana tylko szeptami. Diego zdawał sobie sprawę, że każdy na niego spogląda, być może ocenia. A jednak gdy wziął głęboki wdech, nieznośne głosy ucichły. Był tylko on i instrument. Postanowił, że początek zagra wolno, aby rozeznać się w dźwięku pianina i wybrać gamę, w której rozpocznie utwór. Kiedy poczuł się pewniej, zaczął operować pedałem, przeciągając wyższe dźwięki. Przyspieszył, pozwalając prawej ręce wędrować po różnych oktawach. Lewa ręka jednak wciąż przedłużała bas.

Wnet rozpedził całą wygrywaną przez siebie melodię. Grał coraz głośniej, aż doszedł do maksymalnie donośnego dźwięku pianina, który uzyskiwał, uderzając palcami w klawiaturę. Bawił się wyśmienicie, a gdy spicie ustępowało swobodzie, zaczął wplatać do improwizowanego utworu różne emocje, niekoniecznie tylko radość. Zawarł w niej niepokój przed ocenianiem, ekscytację i tajemnicę, którą niesie przyszłość. Dla żartu przemycił w niej również zmodyfikowaną wersję utworu *Sto lat*, by nawiązać do

urodzin kuzynki. A gdy jego czas powoli dobiegał końca, zwolnił. Wciąż miał dla siebie parę minut, w których chciał oddać całą swoją duszę muzyce. Zadedykował koniec utworu nostalgicznemu uczuciu, które zagości w sercu wszystkich gości, gdy tylko impreza dobiegnie końca. Utworzył melodię do wolnego tańca, nie zdając sobie sprawy, ile osób w pomieszczeniu właśnie wtedy żyło tylko tą chwilą – jego muzyką, obecnością drugiej osoby i swoimi emocjami.

Skończył, wygrywając ostatnie dźwięki coraz wolniej i lżej, aż w końcu można było się jedynie domyślać, czy grana melodia nie powstawała już tylko w jego własnej głowie.

Wstał od instrumentu, zamknął klapę, dosunął ławę. Stał twarzą w twarz z gośćmi, a wtem po sali rozniosły się gromkie oklaski. Takie, których nigdy dotąd nie otrzymał. Czuł się doceniony, szczęśliwy i dumny z samego siebie, ponieważ pokonywał swoje granice, wychodził ze strefy komfortu, chociaż na początku wcale nie było to zbyt przyjemne.

Współczesny Diego patrzył ze spokojem, jak jego młodsza wersja kłania się nisko i uśmiecha się do swojej kuzynki. Patrzył, jak z dumą i pewnością gromadził w swoim sercu wszystkie pozytywne komentarze. Następnie zaczął zastanawiać się, czy słowa otuchy i dumy wciąż są na dnie jego serca, przepełnionego teraz nienawiścią do pianina. O dziwo, chciał aby tam były. Ponieważ nawet w najtrudniejszych chwilach życia, jedno miłe słowo może kogoś ocalić.

Pojawił się w śnieżnobiałym korytarzu i podążył jasno wytyczoną ścieżką. Czasami tylko otwierał drzwi, aby później rozmyślić się i ponownie nimi trzasnąć. A niekiedy znów odwiedzał swoje stare wspomnienia. Czuł się wspaniale, dopóki nie zdał sobie sprawy, że z każdymi kolejnymi pomieszczeniami jego muzyka przestawała należeć do niego. Poruszony zrozumiał, że z powodu nienawiści i wygórowanych ambicji zaczął tracić części siebie. Nie potrafił już poczuć muzyki, nie improwizował, nie grał niczego, co sprawiało mu czystą radość. Zaczął się czuć jak w ptak w klatce – gdy był tylko pisklęciem, klatka wydawała się duża, nie przeszkadzało mu,

że wszyscy mu się przyglądają, gdy pokazywał swoje umiejętności. Ale gdy zaczął rosnąć, miejsca ubywało, a jednak ludzie wciąż oczekiwali od niego tego samego. Warunki nie były już sprzyjające, ale nikogo to nie interesowało.

Później Diego zastanowił się, czy aby na pewno klatka jest zamknięta, a on nie może jej opuścić. Może po prostu *nie chce* otworzyć się na nowe możliwości?

Domyślił się, że dotarł do końca korytarza, gdy zamiast niekończącej się drogi zobaczył tylko jaskrawą poświatę. Zdecydował jednak, że otworzy drzwi z datą, która ku jego zaskoczeniu nie nawiązywała do przeszłości, a do przyszłości. Konkretniej, daty jego najbliższego koncertu w szkole muzycznej.

Staął przed drzwiami do auli i bez przeszkód do niej wszedł, a następnie stanął na samym przedzie, wiedząc, że i tak nikomu nie zasłania widoku, będąc niewidzialnym. Oparł się ramieniem o ścianę i spoglądał, jak jego przyszła wersja robi ukłon przed publicznością i zasiada do fortepianu, a następnie zaczyna grać.

Sonata No.16 zabrzmiała okropnie. Diego poczuł zawód swojej nauczycielki i rodziców. Poczuł również, że utwór jest pusty, sztywny, pozbawiony życia. Publiczność odbiegła myślami od rzeczywistości, skupiła się na własnych zmartwieniach, ignorując pianistę. On z resztą też ignorował samego siebie – grał bezmyślnie, co jakiś czas się mylił, nie wkładając zupełnie żadnego wysiłku w swój występ.

Diego domyślił się, że tak miał wyglądać jego koncert. Jednak chwilę później poczuł, że nie może do tego dopuścić. W jego myślach pojawiła się twarz jasnowłosego chłopca, który po raz pierwszy otrzymał oklaski za swój występ. Ujrzał swój promienny uśmiech i poczuł posmak stresu, towarzyszący mu przy wystąpieniach publicznych. Zapragnął do tego wrócić, pozbyć się żalu i gniewu, a zrobić w sercu miejsce na czułość, pozytywne emocje i przede wszystkim miłość do fortepianu.

Wybiegł z auli na korytarz, który nie był już przepełniony ludźmi. Nie miał grzejników przyozdobionych nutkami ani ścian, na których widniały podobizny uczniów i ich głównych instrumentów.

Diego dumnie stał przed jasną poświatą, która miała wysłać go do domu. Zmrużył oczy i całkowicie oddał się dziwnemu uczuciu, które go wypełniło.

Wnet zerwał się z łóżka i spojrzał na zegarek – dochodziła już szósta! Prędko pobiegł pod prysznic, nie czując się zmęczonym po wyczerpującej nocy. Pierwszy raz od długiego czasu czuł spokój, a nawet lekką ekscytację przed lekcją fortepianu.

Grał tak, jak jeszcze nigdy, z każdym kolejnym taktem odnajdując kolejną część siebie. Sklejał kawałki swojej duszy pozytywnymi uczuciami i emocjami, jednocześnie nie bojąc się oddać muzyce. Sonata wychodziła niemalże perfekcyjnie, wszystkie błędy, które poprzedniego dnia były słyszalne, teraz przepadły w gładkiej melodii. A gdy skończył, uśmiechnął się sam do siebie, czując, że jest gotowy na nową przygodę, którą zgotuje mu los. Nieważne, czy ktoś będzie oczekiwał od niego niemożliwego. Nieważne, że niejednokrotnie usłyszy słowa krytyki. Najważniejsze było dla niego to, że jest szczęśliwy. Odnalazł swoje wewnętrzne dziecko i ponownie pozwolił mu cieszyć się tak prostą, a jednocześnie skomplikowaną rzeczą, jaką jest gra na fortepianie. Czuł, że może dokonać niemożliwego z pewnością siebie i determinacją. Nie zamierzał spocząć na laurach, bo wiedział, że w ten sposób ponownie doprowadziłby się do nędznego stanu.

– Jeszcze wczoraj ten utwór brzmiał... żałośnie – oznajmiła jego nauczycielka – A jednak dziś wybrzmiał w tych czterech ścianach zupełnie inaczej. Co się zmieniło Diego?

– Mogę powiedzieć, że dzisiejszej nocy zrozumiałem jedną bardzo ważną rzecz – uśmiechnął się tajemniczo, a następnie wrócił do sonaty Mozarta, by wprowadzić ostatnie, delikatne poprawki.

Weronika Łopacka (Werka), kl. 4
Liceum Ogólnokształcące
w Międzyrzeczu Podlaskim

Kadisz

Pojawił się między śmiercią pierwszej, a narodzinami drugiej córki. Nie wiem, czy już wtedy, tam w tym Berlinie wiedziałam, że go chcę. Spojrzałam na niego, tak jak patrzyłam na moje dziecko, zanim mi je odebrali i nie wiem skąd, ale on już wtedy przy tej choleralnej Charlottenstraße wiedział, że go wezmę. Na tę jedną noc. Dziś wiem, że chciał po prostu umrzeć w moim domu razem ze mną. Wybrał mnie sobie spośród innych, tak samo ciężarnych, tak samo żałosnych kobiet, będących tam z nami tego dnia, na tamtej ulicy, przy tym sierocińcu, skąd go zabrałam, a potem zabiłam jak psa. Kiedy przedstawiano mi jego dokumenty, tożsamość, nawet wyblakły numer na przedramieniu, nie odezwał się ani razu. Nie powiedział, że ma dwóch starszych braci, Jakova i Arona, ani że ma tylko pięć wiosen, choć wygląda na więcej, bo Ruscy po wyzwoleniu karmili go kielbasą z samogonem, ani że urodził się w tym samym obozie, do którego wysłali moje dziecko. Milczał, tak jak świat wokół, bo wszystko co miał do powiedzenia to tylko te modre oczy. Reszta nie znaczyła nic. Przynajmniej do czasu, kiedy zabrałam ich pod swój dach. Jego i jego wyrosnięte rodzeństwo, bez którego nie chciał się nigdzie ruszyć, a ja musiałam go mieć. I miałam go przez jedną, długą noc, podczas której zdecydował się zadać mi pierwszą śmierć. Gdy po latach pytali mnie o szczegóły z tamtego wieczoru, pamiętałam tylko księżyc w nowiu i moje niespokojne, nowe dziecko, które miało się wkrótce narodzić, lecz tak się nigdy nie stało. Nie mogło się stać, gdyż tuż po północy, kiedy wydawało mi się, że świat wreszcie przemówił i może skrywa w sobie coś więcej prócz baraków, obozów, bezdietych matek i umarłych córek, że może ukojenia należy szukać w trzech przysposobionych Żydach, śmierć zajrzała mi w oczy. Bo oto stał przede mną najstarszy ukoiciel, pierwszy prorok z wyciągniętym

przed sobą radzieckim rewolwerem. Zadrwił z podpisanych na trzynaście lat opieki papierów, jakby od początku wiedział, że nie spędzi ze mną nawet tej jednej nocy. Nie byłam jego matką. Dlatego mógł strzelić. I strzelił. Strzelaliśmy wszyscy po kolei, kiedy przygwoździli mnie do krzesła, a krzesło do stołu, abym nie mogła uciec, przerwać kolejki, ocalić tej, dla której jeszcze wtedy żyłam, mojej córki, bo synów nigdy nie miałam. Zaczął najmłodszy. Włożył jeden nabój do obrotowego bębna, po czym zakręcił nim, przyłożył lufę do własnej skroni i nacisnął spust swoimi pięcioletnimi opuszkami. Zdradził się, że robił to już wcześniej. Dziesiątki, może setki razy. Grał z braćmi. Grał w obozie po wyzwoleniu, po tym jak nauczili ich tego Rosjanie. Grał na ulicach, potem w prywatnych mieszkaniach. Grał za chleb i dla pieniędzy. Grał dla zakładów i dla siebie. Tak zarabiali na życie. Albo śmierć.

Chłopiec odłożył butnie swoją zabawkę na blat stołu. Nawet nie drgnął, nie przymknął powiek, nie zastanowił się, podczas gdy ja kuliłam się razem z moim wciąż żywym dzieckiem. Związana, zdrętwiała i na wpół martwa, bo całkowicie miałam być dopiero za chwilę. Jakov wskazał na mnie ruchem głowy, ale gdyby dzisiaj żył, powiedziałabym mu, że zupełnie niepotrzebnie, bo zasady znałam już tamtej nocy, choć nie wiem dokładnie skąd. Po prostu wiedziałam, tak jak wiedziałam to, że komora jest pusta. Dlatego nacisnęłam spust i umarłam po raz pierwszy. Moja córka zadrżała. Czułam to wyraźnie, kiedy przytknęłam zimny kawałek metalu do głowy. Potem przestałam czuć. Chciałabym wierzyć, że umarła przed tym, jak jeden z jej braci przegrał. Jeszcze do niedawna nie pamiętałam który, ale dzisiaj jestem pewna, że był to Aron. Jego mózg rozbryznął się na ścianie za nim i stole, na którym trzymaliśmy ręce. Nikt nawet nie pisnął. Graliśmy dalej. Zostało nas już tylko czworo. My i oni, z tą różnicą, że od jednej kuli zależały dwa życia. Moje i jej.

Na końcu pozostało już tylko jedno, choć Jakov bardzo się starał, by nie ostało się żadne. Podał mi swoje własne dziecko do rąk, a jego wzrok kazał mi je przytulić do skroni. I kiedy tak umierałam po raz drugi, wiedząc że tym razem komora jest pełna, a brzask

nie nadejdzie, dopóki choć jeden przeżyje, zapragnęłam oddać ten ostatni strzał. I oddałam. Prosto w czaszkę Jakova. Jej kawałki spłynęły po murach tego domu w Berlinie, którego już dzisiaj nie ma. Tak, jak nie ma Arona, jego dwóch braci i Ciebie, moje dziecko. Ja wciąż jestem, bo przeżyłam już trzecią śmierć. Twoją śmierć. A później śmierć tego, który Ci ją zadał. Nie mogłam wiedzieć, że rewolwery były trzy, że każdy na pożegnanie od Sowietów dostał po jednym. Także chłopiec z Charlottenstraße. Ten, którego dzisiaj wspominam, nie dzieląc już z Tobą ciała, domu, ani grobu, bo przeżyłam. Ciebie i jego. Żyję, bo chciałaś żebym żyła. Gram dalej. Z daleka od Ciebie i od nich. Tak zarabiam na życie. Albo śmierć.

Julia Stańczak (Black), kl. 4
II Liceum Ogólnokształcące w Bielsku-Białej
Głupich nie obsługujemy

Bar o wspaniałej nazwie „Promyczek szczęścia” zachęcił Emila do wejścia. Było to małe, skromne lokum, wypełnione zapachem grzanego wina i wódki. Słodkie zapachy mieszały się z tymi mocnymi, tworząc wypalające nozdrza połączenie. Nie zniechęciło ono Emila, a wręcz pobudziło. Podeszedł do baru i machnął na kelnera wycierającego szklankę.

– Wódki, poproszę.

Kelner spojrział na niego spod byka i wskazał ręką na drewnianą tabliczkę. Widniał na niej napis: „Głupich nie obsługujemy.” Emil zmarszczył brwi.

– Uważa mnie pan za głupca? – powiedział oburzony.

– A nie jest nim pan?

– Jak pan śmie mnie tak obrażać. Oczywiście, że nie. Proszę podać mi wódki i to natychmiast.

Kelner uniósł brwi z pogardą, odłożył szklankę i pochylił się w stronę naburmuszonego klienta.

– Żona pana zdradziła i zażądała natychmiastowego rozwodu. Przez znajomości w sądzie o mało nie odebrała panu całego majątku. Przez pół roku żył pan na skraju ubóstwa, a kiedy ona ponownie przyszła i powiedziała c Kliwe słówka o miłości, pan do niej wrócił i zrobił jej dziecko, żeby ratować i tak już martwy związek. Jeżeli to nie jest głupotą, to ja jestem Wrózką Zębuszką.

Zapadła cisza. Kelner wrócił do czyszczenia szklanki. Emil stał jak wryty, nie wiedząc czy czuje się urażony, czy zrozumiany. Kelner nie pomylił się w żadnym fragmencie jego historii. Powiedział całą prawdę, którą Emil przyszedł zapić. Nie ważne jak to odgadł, Emila to nie obchodziło. Dla niego liczył się tylko alkohol, bez którego nie był w stanie poczuć szczęścia.

– Nie rozumiesz, ja MUSZĘ się napić. Daj mi cokolwiek, nawet po terminie. Proszę, bez alkoholu mój nastrój się nie zmieni.

– Nie widzi pan tabliczki? Nie jest tam powieszona bez powodu. Ma za zadanie chronić takich, jak pan. Smutnych i zbłąkanych ludzi, którzy szukają ratunku w alkoholu. Zły nawyk, bardzo zły. Emil pochylił głowę i jęknął się wyszeptał.

– Proszę, nic innego mi nie pomaga.

– Bzdura! Jest pan dorosły, proszę się wziąć w garść. Jak pan chce wychować to nowo narodzone dziecko, skoro nie potrafi pan ogarnąć własnego bajzlu?

– Nie wiem.

Emil położył głowę na blacie jak spragniony pies.

– Nie wiem – powtórzył półszepem jak mantrę. – Nie wiem, nie wiem, ja naprawdę nie wiem – zaczął szlochać. – Jestem nieudacznikiem, głupcem, który dał się złapać jak zwierzę. Nie wychowam tego dziecka. Nie umiem. Ja nie...

Nagle dostał po głowie szmatką. Podniósł się i spojrzał na kelnera, który był widocznie znudzony.

– Panie, co pan gada za bzdury. Nawarzył se pan piwa, to teraz trzeba je wypić. Tylko tchórze uciekają od odpowiedzialności. Chce pan być tchórzem?

Emil pokiwał przecząco głową.

– No, ja myślę. A teraz proszę się wziąć w garść, a nie mazgać na moim blacie – przetarł miejsce, gdzie leżała głowa Emila.
– To co ja mam robić?
– A bo ja wiem. Prosty chłop jestem, który nie filozofuje. Ale jeśli szuka pan pocieszenia to proszę się udać do lokalu naprzeciwko – wskazał ręką. – Tam proszę przeczytać ich tabliczkę i tu nie wracać. A teraz wynocha mi stąd, bo odstrasza pan klientów.
Emil odsunął się od blatu pogoniony szmatką i wyszedł z baru. Naprzeciwko znajdowała się herbaciarnia o nazwie „Burzowa chmura szczęścia”. Poszedł w jej stronę, nie mając nic do stracenia. Zbliżył się do szklanych drzwi i zobaczył na nich wiszącą tabliczkę: „Smutnych i zagubionych obsługujemy.” Otworzył drzwi i z dźwiękiem dzwonka zrozumiał, że znalazł się w miejscu, którego szukał.

Zuzanna Matuszczak (Charlie) kl. 1
III Liceum Ogólnokształcące w Tarnowie
Zdążyć

– Tak, tam pod szpital. Jedzie pan pod szpital?– zapytałam kierowcę z drżącym głosem - Ile to będzie? Sześć pięćdziesiąt, tak?
–Tak, sześć pięćdziesiąt, już wydaje resztę.
Niech pan nie wydaje, no niech pan już jedzie!
Kierowca popatrzył na mnie, a ja oddaliłam się krok dalej. Naprawdę nie chciałam być nieuprzejma, ale spieszyło mi się jak nigdy. Na dodatek bolały mnie nogi, bo bardzo szybko szłam, żeby zdążyć na czas.
Nagle poczułam na swoim ramieniu czyjś dotyk. Okazało się, że to jakiś chłopak, który coś do mnie mówi.
– Niech sobie pani usiądzie, proszę tutaj jest miejsce – powiedział uprzejmie.
– Zaraz wysiadam, postoję – odpowiedziałam oschle, mimo że nie miałam takiego zamiaru – przepraszam, naprawdę nie ma potrzeby – zreflektowałam się w porę.

– Jezu, nie to nie – odpowiedział miły dotychczas chłopak i wrócił na miejsce.

Nie wiedziałam co powiedzieć. Nie powinnam pozwolić, żeby emocje przejęły nade mną kontrolę. Przecież wszystko będzie dobrze. Prawda?

Spojrzałam na zegarek i zorientowałam się, że jedziemy już siedem minut, a minęliśmy dopiero dwa przystanki. Szybciej dotarłabym pieszo. Chwilę nawet zastanawiałam się, czy nie zdecydować się na przechadzkę, jednak nagły ból w kolanie dosadnie mi to odradził.

Znecierpliwiona zrobiłam krok w stronę kierowcy i zwróciłam się do niego.

– Czy nie może pan jechać szybciej? – zapytałam prawie krzykiem

– Niektórym może się gdzieś spieszy.

– Gdybym mógł, to bym jechał – usłyszałam w odpowiedzi. – Jak pani coś nie pasuje, to zawsze można się przesiąść na rower.

– Wie pan co? – odparłam z pretensją. – Jest pan bezczelny.

– Niech mi pani nie przeszkadza w pracy, bo zaraz będzie iść pani pieszo.

Na tym zakończyła się nasza ostra wymiana zdań. Nie chciałam być niemiła, ale jeżeli zaraz nie zobaczę mojego przystanku, to chyba naprawdę pójdę pieszo.

Gdy chwilę przed wyjściem z domu odebrałam telefon, zrozumiałam, że sprawa jest poważna. Ja muszę zdążyć. Nie wyobrażam sobie innego scenariusza.

Z zamyślenia otrząsa mnie głos. W pierwszej chwili myślę, że to znowu ten nastolatek, jednak słysząc kolejne sylaby, orientuję się, że to ten należący do kierowcy.

– Proszę pani – słyszę. – To pani przystanek.

Gdy tylko dochodzi do mnie to co powiedział, niemal wybiegam z autobusu, ponieważś orientując się, że nawet nie podziękowałam. W pierwszej chwili chcę zawrócić i poprawić się, jednak gdy przypominam sobie po co tu jestem, dochodzi do mnie, że nie ma czasu na uprzejmości.

Biegnę co sił w nogach nie zważając na ból kolan. Docieram do szpitalnych schodów i pędzę ledwo łapiąc oddech. Przechodząc przez drzwi próbuję się nieco uspokoić. Zauważam znajomą lekarkę i na powrót przyspieszam kroku.

– Dzień dobry, jak z moim mężem? – pytam z wyczuwalną nadzieją w głosie. – Gdy tylko odebrałam pani telefon, od razu wsiadłam w autobus.

– Wie pani co? Może pani usiądzie, przyniosę pani wody.

– No niech pani mówi – buntuję się, coraz bardziej zaniepokojona – jak on się czuje?

– No dobrze – zaczyna lekarka – pani mąż odszedł od nas kilka minut temu, bardzo mi przykro.

Nie rozumiałam co ta kobieta do mnie mówiła. Jak odszedł, gdzie poszedł, co się stało? Dopiero po chwili zrozumiałam. Odszedł. Już go z nami nie ma. Mój mąż nie żyje. Nie zdążyłam.

– Słyszysz mnie pani?

Słyszałam, mimo że nie chciałam słyszeć tego co do mnie mówiła. Najbardziej chciałam, żeby podeszła do koleżanki z recepcji, popatrzyła w te ich dokumenty i oznajmiła mi, że to pomyłka, a ja nawet nie byłabym zła.

Tak się jednak nie stało, a do moich uszu dotarły kolejne jej słowa, już coraz wyraźniejsze.

– Chce pani zobaczyć męża?

Nie wiedziałam, czy chcę, jednak nawet nie zdążyłam się zorientować, kiedy stałam z lekarką w windzie na drugie piętro. Jechałyśmy w ciszy, mimo że wyraźnie widziałam, że chce mi coś powiedzieć, może mnie pocieszyć? Wiedziałam, że jej się to nie uda i ona chyba też to zrozumiała, bo po chwili przestała próbować.

Kilka minut później stoję już z nią przed drzwiami do sali mojego męża. Otwieram je i widzę go, leżącego na szpitalnym łóżku. Wygląda jakby spał.

Robi mi się gorąco.

Mogłam pojechać taksówką.

Jakub Krok (Krokis), kl. 3
I Liceum Ogólnokształcące w Krakowie

No hay banda!

Dzisiejszego deszczowego dnia udałem się na pogrzeb. Spojrzeć ostatni raz na ciało człowieka, który nie był mi najbliższym, ale którego znałem i zapamiętam. W jednej chwili utraciłem szansę na pytanie go o coś, na zobaczenie jego uśmiechu. Czy jednak nie mogę spytać kogoś innego? Czy człowiek ten jest niezastąpiony? W chwili, w której stał się nieobecny, nie przestał istnieć. Zapisany i utrwalony na fotografiach, filmowany, uwięziony w klatkach osobistych wspomnień. Wiecznie żywy. Zniknięcie nie stawia pod znakiem zapytania kwestii istnienia.

Pogrzeb miał charakter na wskroś wiejski. Kameralna uroczystość osnuta ciężką wilgocią późnej jesieni. Gdy oglądałem trumnę i umęczone twarze niosących ją kawalerów, biłem się z przeczu-
ciem, że ciężka skrzynia na zwłoki opadnie z ich ramion na ziemię i roztrzaska się z hukiem. Niewiele by to zapewne zmieniło. Każdy fragment ziemi musi być taki sam jak inne. Identycznie chłodny, ciemny i kruchy. Ciało również rozkłada się zawsze tak samo – mozolnie i gryząco. Prowincjonalny ksiądz zawodził nieudolnie *Anielski orszak*, otoczony gromadą czarno przyodzianych żałobników. Zmarłemu towarzyszyli przez całą drogę, zawsze tak samo bezpłciowi i nieszczególni. Witają cię chrztem, piją wódkę na twoim weselu, płaczą na twoim pogrzebie. Niezmiennie uporczywie wciśnięci w swoje czarne garnitury, niekiedy lekko zaśniedziałe, niekiedy brudne. Widok płaczącej wokół trumny grupy obudził we mnie uczucie żałości, zmieszane jednak z nutą współczucia i litości. Kto jest temu winny?

Kiedy uroczystości skryły się już za parawanem historii, udałem się na stypę. Osobliwy zwyczaj, uczta na cześć nieobecnego. Stypa jest nieuchronna, jest kolejnym, koniecznym, ludzkim weselem, w którym żywe żeni się z martwym. Na łożu śmierci przypomina sobie człowiek kroki do tanga, słyszy coraz głośniejsze zachwycające,

podniecające nuty, by po chwili roztopić się dołączając do makabrycznego tańca. Zaproszeni do ucztowania pochłaniają strawę oraz pogłoski i plotki o okolicznościach zejścia. Prawdziwe przejęcie wymalowane na obliczach ustępuje obojętności. Ktoś konstatuje, że cały pogrzeb to tylko kopanie łopatami dziury w twardej glebie, a nieżyjącemu i tak wszystko jedno. Pewnie ma rację. Jedzenie smakuje dokładnie tak samo, jak zawsze, herbata jest tak samo gorąca, a sztucze, przetarte niedbale, połyskują tym samym mętnym blaskiem. Śmierć nie wpłynie na życie, każdy pójdzie swoją drogą.

Wychodzę z karczmy, gdy kołdra nocy powoli nasuwa się na szary krajobraz,świadom, że nigdy więcej nie pomyślę o ludziach, z którymi dziś rozmawiałem, iż za parę dni zapomnę ich twarze. Staną się dla mnie martwi, mijając ich na ulicy, nie obrócę głowy, by się im przyjrzeć.

Parę godzin później, o mroźnej wieczornej porze, trafiam do teatru, by obejrzeć Śmierć Jana Pawła II. Foyer, po brzegi wypełnione ludźmi, szumi od przyciszonych głosów. Oglądam twarze nie zauważając drżącego oczekiwania na śmierć, a jedynie ekscytację, ulgę, radość. Zajmuję miejsce w trzecim rzędzie i widzę puste łóżko. Scena wypełnia się charczącymi dźwiękami sygnalizującymi ostatnią ludzką walkę. Obserwuję ostatnie wdechy i wydechy, a później misterny proces konserwacji starego ciała.

Przypomina mi się *Mulholland Drive* i jedyne, co chciałbym ujrzeć na scenie to dowód kłamstwa. Nikt nie wychodzi jednak, by powiedzieć *No hay banda!* Reżyser pragnie bym uwierzył w zastępy kardynałów, w porozumiewających się po włosku lekarzy. Bym uwierzył w odegraną śmierć. Kiedy wchodzę na scenę obejrzeć ciało człowieka, który dokonał żywota, zapominam o tym, że to papież i myślę jedynie o zamarkowanym oszustwie, którego mam nie dostrzec. Pięknemu misterium towarzyszy powaga ludzi o kamiennych twarzach, przejętych tym, co zobaczyli, dotkniętych aktem udawania. Nikt nie podnosi głosu, słysząc jedynie kościelną pieśń. Gdy w filmie Lyncha śpiewająca kobieta upada na ziemię, a z głośników nadal wydobywa się jej głos, czuję, że odkryto

przede mną najważniejszą z prawd. Aktor grający papieża nie podnosi się z katafalku. Kłamstwo pozostaje za kurtyną.

Wracam pamięcią do poranka i wyblakłej twarzy zakończonego anonimowego człowieka, który leży pod ziemią, pozostawiony samemu sobie, pogrzebany pierwszy i ostatni raz. Po zakończeniu spektaklu sceniczny Jan Paweł II otwiera oczy, wychodzi z trumny, ściąga kostium, by następnego dnia umrzeć ponownie.

Jakub Krok (Krokis), kl. 3
I Liceum Ogólnokształcące w Krakowie
Penteusz

Tragedia antyczna

Wprowadzenie. Proszę usiąść, przeżegnać się, przygotować rachunek sumienia, zmówić spowiedź, zapłakać. Wprowadzenie, proszę usiąść lub nie siadać, jeśli ktoś z państwa ma coś na sumieniu. Nie zniosę tego. Nie zniosę nieczystych sumień. Wprowadzenie. Niech się państwo wprowadzą sami, jeżeli mają państwo brudne sumienie, ja państwa nie wprowadzę. Proszę być spokojnym i uspokajać, jeżeli państwo odnajdą niespokojnych, proszę ich szukać i uciszać. Ja gram. Wprowadzenie. Gram dla państwa wprowadzenie z czystym sumieniem, o czystym sumieniu, dla czystych sumień. Ale trwoga. Muszę państwa okłamać, to nie początek mszy. To koniec. Moja msza jest już na ukończeniu. Dłużej jej nie poprowadzę. Wprowadzenie. Wprowadzam państwa do końca, zamkniętego pomieszczenia, zamkniętego końca. To nie pokoik mojej wyobraźni, na pewno. Na pewno nie jest biedny, nie jest wypełniony zdezelowanymi meblami. Mam wszystko w pokoiku mojej wyobraźni. I nie mam w nim nic. Wprowadzenie. Ja państwa mogę wprowadzić na korytarz, na wieczny, niekończący się korytarz i idźcie nim, idźcie nim do końca świata. Idźcie nim, jak świnie idą na ubój, a na pewno nikt was nie ubije! Na pewno! Na pewno nikt was nie ubije! Sami się ubijecie! *(dłuższa przerwa,*

ze skruchą, bez ironii) Przepraszam... To nie wasza wina. Wiem, że tego nie chcecie.

Penteusz siedzi na krawędzi sceny, na krześle zaraz przed widownią.
Jestem skazany. Skazany od urodzenia, skazany do śmierci. Skazany przez matkę, skazaną matkę. Skazany na to, o czym nie wiem. Skazany na to, co wiem. Kocham moją matkę. Kocham jej troskę, to jak na mnie patrzy. Zawsze martwi się o to, czy ktoś nie wyrządzi mi krzywdy. Moja matka jest skazana. Bezwzględnie skazana na wyrządzenie mi krzywdy. Każdego dnia patrzę na nią i widzę w jej oczach, że nie wie o tym, co musi się stać. Pewnego dnia przychodzi, ponieważ musi przyjść. Pewnego dnia wychodzi, ponieważ musi wyjść. Pewnego dnia zapomina kim jest jej syn, ponieważ musi zapomnieć. I wtedy nie widzę troski w jej oczach. Jedyne co widzę to pusty szal. Szał, którego nie zrodziła rozpacz, którego nie zrodziła zawiść. Boję się szału, za którym nic nie stoi. Który rodzi się sam z siebie i jest wyłącznie szałem dla szału. Pusty gniew rodzi zawsze puste okrucieństwo, którego konsekwencją jest obopólne cierpienie. Każdy cierpi. Moja matka jest skazana na szal. Jest skazana.

Toczy swoją głowę po scenie, ogląda ją, bada jej strukturę, kształt. Jej wszystkie elementy, jakby poznawał coś, co jest mu zupełnie obce.

moja głowa... spoczęła nabita na pal...
to dziwne... dziwne, kiedy patrzę teraz na nią... przyglądam jej się...
chciałbym zobaczyć te same bruzdy... pieprzyk na policzku...
wciąż wyobrażam sobie, że patrzę w lustro... ale martwe ciało nigdy nie jest lustrem...
martwe ciało jest jedynie namiastką człowieka...
spoziera na niego... wyzywa go osobliwie... zaprasza do tańca...
to nie taniec śmierci... to tylko taniec odniesienia, w którym śmierć baluje z życiem...
śmierć prosi życie do wspólnej zabawy... podaje kościstą dłoń dłoni pełnej i rumianej...

zapewne lekko spoconej...
moja głowa patrzy na mnie, ale oczy...
oczy to wyłącznie szklane kulki umieszczone w skórze... bez dawnego blasku...
bez jakiegokolwiek blasku...
wszystkie głowy po dekapitacji stają się takie same...
nagle każda z nich staje się głową bez właściwości... głową nieosobistą...
głową, której jedyną jakością jest jej głowość... głowowatość...

Ktoś widocznie musiał złożyć doniesienie na mnie, bo mimo że niczego złego nie popełniłem, zostałem po prostu aresztowany. Leżę w łóżku i pytam „Kto pan jest?” i chcę usłyszeć odpowiedź. Niczego nie chcę tak bardzo jak tego, żeby on się odezwał. Moje aresztowanie... Niech zobaczę i zrozumieć kto doniósł, że jestem człowiekiem! Kto wyjawiał moją tajemnicę?! Kto wywlekl na światło dzienne moją ludzkość?! Kto uchylił wieko pudła, w którym załagałem się ze swoją słabością...?! Ze swoim... człowieczeństwem. Kto pan jest? Kim ty jesteś?! Przychodzisz do mnie ubrany w cekiny, ukryty pod makijażem i zdzierasz z siebie wszystko, jesteś nagi, zupełnie nagi przede mną, ale ja nie mogę cię ugodzić. Twoja nagość jest skorupą, wciąż jest ubraniem, ty tylko udajesz nagiego, udajesz bezbronnego. Kiedy się słaniasz, w ogóle się nie słaniasz. Twoje zachęty, twoje namowy, to wszystko niech wezmą diabli, nienawidzę cię, nienawidzę twoich kłamstw, nienawidzę twoich nagabywań, nienawidzę twoich zasadzek i nienawidzę tego, że zmuszasz tych, którzy wcale nie chcą, a nie mogą się przed tobą obronić. Ty nigdy nie jesteś nagi, ale wszyscy są nadzy, uginają się przed tobą, z tobą tańczą wokół jednego ogniska, które ich parzy, które ich hipnotyzuje, nad którym nie panują, a ty rozpalasz je pstryknięciem, gasisz je dłonią i tylko patrzysz, patrzysz, patrzysz. Jesteś niepozorny, skryty, nierzucający się w oczy i kiedy widzę cię idącego chodnikiem nie odwracam wzroku, bo cię nie zauważam, i kiedy siadasz obok mnie w autobusie, nie obdarzam cię uwagą i wysiadam przystanek dalej nie obracając się, i kiedy

pytasz mnie o drogę w nieznanym mieście od razu zapominam twoją twarz, i kiedy judzisz i podburzasz tłum do rewolucji, ja nie widzę jej załążka. I później muszę się obudzić w moim własnym łóżku i czuć się w nim obco, jak wszędzie indziej na świecie. Rozumieć, że to nie moje miejsce, że zostałem wyklęty, a nikt nie potrafi wyjaśnić dlaczego. Nie wracam do tego świata, bo gdy chcę wrócić jestem oskarżony, jestem oskarżony o nic, jestem oskarżony o wszystko, więc muszę iść na egzekucję i chcieć gorączkowo uciekać, wyrwać się, zbiec, lecz wszystko staje się egzekucją, bo nie ma już dla mnie schronienia i poddaję się i czuję, jak kula przebija moją czaszkę i upadam głucho na ziemię myśląc, że umieram jak pies. Jak pies. Wracam do ziemi, a ziemia jest wielkim gównem wydalanym przez wszystkich, którzy mnie opuścili. A nie chcieli mnie opuszczać.

CHCIAŁBYM nie wierzyć w ciebie, ale czuję twoją obecność
CHCIAŁBYM nie zauważać twoich śladów, ale one pchają mi się do oczu
CHCIAŁBYM nie słyszeć jak wymawiają twoje imię, bo się go boję
CHCIAŁBYM nie być wychowywany w twoim kulcie
CHCIAŁBYM móc splunąć ci w twarz i nie bać się konsekwencji
CHCIAŁBYM znaleźć twoje ciało, jeśli w ogóle istnieje i skopać je, zbić, wziąć nóż i ćwiartować, by nic z ciebie nie zostało, by nikt nie mógł cię rozpoznać

Penteusz siedzi na łóżku w dziecięcej sypialni.

Pierwszy raz przyśniło mi się, że matka odcina mi głowę, kiedy miałem pięć lat... Ale to przecież tylko sen z matką w roli głównej, to nic nie może znaczyć. Seny to tylko zniekształcone warianty marzeń. To podszyte zgnilizną historie. Żeby zachować świeżość trzeba je wypluć, pozbyć się ich i wrócić do tego, co tu i teraz. Leżę w łóżku mając pięć lat, przez okno sący się światło księżyca. Delikatny promyk, jedyne co mnie oświecila. Mama zgasila lampkę i teraz jestem sam. Poduszka nagrzewa się powoli od ciepła mojej głowy. Zapadam w sen, w którym też leżę w łóżku. Śpię spokojnie,

spod zmierzwionej kołdry wystaje fragment małej nóżki. W korytarzu prowadzącym do pokoju ktoś zapala światło docierające do mnie przez szczelinę pod drzwiami. Słysząc kroki. Zbliżają się powoli, nieustępliwe i nieuniknione, lecz nie budzę się, bo jestem we własnym domu, we własnym domu, który przecież musi dawać mi bezpieczeństwo, bo zawsze dawał mi bezpieczeństwo, przecież na pewno nic się nie zmieniło. Stąpanie po podłodze cichnie, ktoś stoi przy drzwiach i czeka. Na co czeka? Nie wiem. Nie mogę zrozumieć. Ja, ja ze snu, ja wystawiony na niebezpieczeństwo, przebudzam się. Wtedy drzwi rozchylają się powoli i stoi w nich mama. Jej sylwetka jest zaciemniona, zza niej dobywa się ostre światło, ale rozpoznaję ją. Trzyma coś w dłoni. Mamo, co to? Mamo, powiedz mi zanim do mnie podejdziesz. Mamo! Proszę! Świsł topora oddziela moją głowę od tułowia, krew tryska na krystalicznie białą poduszkę, a mama stoi nade mną chwilę, po czym klęka i kładzie dłoń na stygnącej twarzy, która swym wyrazem krzyczała „ratunku!” Śpiewa. Śpiewa pieśń. Łacińską pieśń, a ja nie rozumiem słów. Jej dłoń czerwienieje od mojej krwi, a ona śpiewa coraz głośniej i głośniej, żeby w końcu zacząć zawodzić, krzyczeć nad moim ciałem, pełna pasji. Ktoś staje za nią, nie widzę jego twarzy. Kładzie jej dłoń na ramieniu i kiwa głową. Budzę się.

Penteusz naprzeciw schodów prowadzących w dół.

PENTEUSZ: Muszę już zejść. Muszę powoli schodzić. To wieczne wygnanie, nikt nie wytrzyma spotkania na ulicy z człowiekiem bez głowy. Nie ma już dla takiego miejsca.

Czy mam wybór? Niepowstrzymany spych wpycha mnie na schody, nie mam jak krzyknąć i zaprotestować. Już czas.

To piękna historia! Idę powoli, lecz po chwili przyspieszam, już chcę być na dole! Jak ja chcę tam być! Achillesie, to ty?! Dlaczego się smucisz? Chciałbyś wrócić? Choćbyś miał być tam tylko namiastką dawnego siebie? Każdy czegoś chce.

Odys! To ty! Patrzysz na mnie z żałobą w oczach! Coś się stało? Gdzie twoja żona? Ach, zabrano ci ją... Odseparowano? Ponosisz karę.

Tejrezjaszu, co mi powiesz? Nic mi nie powiesz, nie chcę, żebyś mi cokolwiek mówił, daj mi iść, po prostu iść.

Nikogo tu nie ma? Wszyscy zostali wyżej? Schody się skończyły, ale... Nie, chyba coś słyszę? Słyszę coś?

AGAWĘ: Przemknęłam obok ciebie chyłkiem, żebyś mnie nie zauważył. Nie chcę patrzeć na ciebie tutaj, po tym wszystkim.

PENTEUSZ: Tak? No, tak, tak... Rzeczywiście. Mamo... Ale co to znaczy?

AGAWĘ: Boję się... Nie chcę, żebyś mnie znienawidził. Nie chcę, żebyś się mną brzydził.

PENTEUSZ: Mamo, ale ty nie mogłaś inaczej. Przecież ty nie mogłaś inaczej. Nie rozumiałaś, co robisz. Nic nie rozumiałaś.

(Pauza)

AGAWĘ: Boję się. Boję się synu. Tak strasznie się boję.

PENTEUSZ: Mamo, przestań. Mamo. Mamo!

KOCHAM CIĘ MAMO

KOCHAM CIĘ MAMO

KOCHAM CIĘ MAMO

KOCHAM CIĘ MAMO

KOCHAM CIĘ MAMO

Mamo, dlaczego milczysz? Mamo, nie opuszczaj mnie znowu, cały czas mnie opuszczasz. Patrzę w Twoje oczy mamo, nie, wcale w nie nie patrzę, nie ma twoich oczu, nie ma moich oczu, które mogą w nie patrzeć, nie ma już przecież żadnych oczu, gdy ja nie patrzę na ciebie, a ty nie patrzysz na mnie.

Chór zakonnic śpiewa pieśń osaczając Penteusza i patrząc w górę, w dal.

CHÓR:

„Do Ciebie Panie pokornie wołamy,

Łzy wylewając serdecznie wzdychamy.

Racz na nas wejrzeć z nieba wysokiego,

A racz pocieszyć człowieka grzesznego.

Któregoś Panie zbytnio umiłował,
I Krwi najświętszej przelać nie litował.
Acz miecz twój srogi bardzo się rozszerzył,
By złości nasze swą srogością zburzył.

Lecz nic nie dbamy, w złościach naszych trwamy,
Jednakże Panie ku tobie wołamy:
Byś złości nasze łaskawie przebaczył,
A gniew swój srogi pohamować raczył.

Użycz łaski twej ku upamiętaniu,
Daj serce prawe ku twemu wzywaniu;
Abyśmy zawsze w pobożności żyli,
Ciebie z świętymi na wieki chwalili.”

Penteusz wybiega spomiędzy zakonnic, zakonnice znikają.

PENTEUSZ:

Jestem teraz Prometeuszem

Wchodzę do ciemnej, mrocznej jaskini i widzę tam ciemny,
mroczny lud

I oglądam ich brudne od ziemi niezadbane ciała

Czuję zapach stęchlizny i zgniłego mięsa

Na ich plecach skóry zarżniętych zwierząt

Myślę o tym, że idzie zima, że przyda im się ogień

Patrzę na nich z politowaniem bo nie są ludźmi

Jestem teraz Prometeuszem

Wchodzę do przestronnego, jasnego mieszkania i widzę tam
światłych ludzi

I oglądam ich czyste, delikatne, pachnące ciała

Czuję zapach odświeżaczy do powietrza i kwiatów

Ubrani są w garnitury, suknie

Myślę o tym, że nie obchodzi ich żadna zima

Patrzę na nich z politowaniem bo są ludźmi

Jestem teraz Prometeuszem

Wchodzę do pustego świata i biorę w dłonie garść gliny

Lepię nowe ciało, inne, odporniejsze, trwalsze

Powstaje w moich rękach istota świeża, której nie potrzebuję rozumieć

Nie wiem na drzewie żadnego jabłka

Powierzam wszystko, niech żyją, niech żyją

A ja pójdę swoją drogą

Jestem teraz Prometeuszem

Widzę ich świat, opływający w radość

W ich życiu nie ma strachu, podnoszenia wzroku w górę

Żadna matka nie odcina głowy swojemu dziecku

Nikt nie tańczy przy wielkim ognisku

Nikt nie ostrzy noży, by zaprowadzić kaźń i zagładę

Nikogo nie niewolisz ty

Nigdy nie będę Prometeuszem

Zuzanna Sujewicz (Sowencja) kl. 3

II Liceum Ogólnokształcące we Włocławku

Dorośle dzieci teatru

Scena I

Na scenie znajdują się dwie ławki, dziewczyna i chłopiec siedzący przy nich są zwrócenii do publiczności, ubrani są w mundurki szkolne, które są jasnego i mocnego koloru. Każde z nich układa potrzebne przybory na stoliki, nagle dzwoni dzwonek, oboje zastygają. Ich wzrok przez chwilę się spotyka – jakby przeczuwając nieodwracalność chwili, która ma nadejść. Gwałtownie wyprostowują się, odwracają głowy, patrząc naprzeciw.

Głos nauczyciela: Omawiając dzisiejszy temat, zacznę od...

Jego głos jest skrzeczący, przyprawia uczniów o nudę, choć z początku próbują słuchać, dość szybko oddalają się myślami.

Głos nauczyciela: Z powodu... Zadając sobie to właśnie pytanie... Przegrana i wino pada na...

Niewymienianie konkretnych dat i informacji, mogących nakreślić czas wspomnianego zdarzenia dodaje utworowi uniwersalizmu. Są one celowo pominięte.

Podczas lekcji nikt nie zwraca już uwagi na nauczyciela, który sam ziewa. Da się usłyszeć brzęczenie muchy. Wyraźnie odczuć można znużenie, które wręcz unosi się ze sceny i spowija obecnych mgiełką beznadziejnej nudy. Nagle światła mocno błyskają w całej sali. Moment uśpienia w jednej chwili znika.

Głos nauczyciela: A panna słucha, czy udaje, że słucha?!

Na ten krzyk dwoje uczniów na scenie podryguje się na krzesłach.

Głos nauczyciela: Czy więc według ciebie, bazując na poniesionych stratach, miała sens?

Ona: Przepraszam?

Głos nauczyciela: Czy według ciebie walka ta miała sens?

Pyta zniecierpliwiony, jakby sam odliczał czas do dzwonka. Dziewczyna jest speszona, błądzi oczami po klasie, drapie nerwowo prawą dłoń – to jej tik nerwowy.

Ona: Ja... To znaczy...

Głos nauczyciela: Do rzeczy! Nie mamy całego dnia na twoje bajdurzenie. Jeśli nie potrafisz wskazać nam...

Ona: Nie miała!

Dziewczyna wygląda sama na zaskoczoną wybuchem, po chwili przybiera odważną minę i wyprostowuje się.

Ona: Uważam, że cena jaką trzeba było zapłacić za ten akt heroizmu, jest wystarczającą odpowiedzią, na pana pytanie, panie profesorze. Zbyt wielu ludzi aresztowano, maltretowano, zabito czy wywieziono. Walka bez nadziei na zwycięstwo jest głupotą romantyków upitych ideą wolności. Ponieważ nie ma takiej rzeczy, która mogłaby być warta śmierci i rozpaczy tak wielu.

Cisza. Chłopiec ma niedowierzający wyraz twarzy. Gdy nauczyciel nie odpowiada od razu, on sam wstaje z krzesła i kierując wzrok na dziewczynę.

On: Jak możesz tak mówić? Tak myśleć?! Oczywiście, że walka miała sens! Choćby po to, by pokazać, że nic nigdy nie może zabić ducha wolności!

Dziewczyna patrzy zaskoczona na chłopca, który żywo gestykuluje.

On: Miała dać nadzieję, tym którzy ją stracili. Chodziło przecież o wolność, a za nią można zaprzedać nawet duszę.

Dziewczyna także wstaje, jakby czuła się urażona jego wypowiedzią.

Ona: Powiedz to przed bezimiennymi mogiłami, głoś swoje prawdy na ich grobach. Szkoda, że nie możesz wykrzyknąć tego ich rodzinom, które straciły wszystko! Łatwo ci mówić o wolności, gdy sam nigdy nie musiałeś o nią walczyć!

On: Nie musiałem, to prawda! Ale gdybym był tam, pytając się czy warto poświęcić samego siebie, czy może pozwolić zmiażdżyć się i zawiązać sznur u szyi, nie zastanawiałbym się nawet przez moment! Nie zawahałbym się!

Oboje patrzą sobie w oczy i ciężko oddychają. Ona mruczy coś pod nosem. On gwałtownie do niej podchodzi, chwytając za ramię, zwracając ją w swoją stronę, ona jednak je wyszarpuje.

On: Jeśli chcesz mi coś powiedzieć, miej odwagę zrobić to, mówiąc tak wyraźnie, bym mógł usłyszeć.

Ona przetyka ślinę i patrzy hardo. Zniknęła gdzieś niepewna dziewczyna na początku sceny.

Ona: Mówi to tylko dzieciak, który myśli, że jest dorosłym.

Chłopiec uśmiecha się drwiąco, pochyla do niej, jakby chciał szeptać, ale mówi głośno, by każdy mógł usłyszeć.

On: Mówi tchórz. I zdrajca.

Przez chwilę panuje cisza, światło pada tylko na chłopca i dziewczynę. Nagle dzwoni dzwonek. Światła gasną – ciemność.

Scena II

Światła wciąż są wyłączone, usłyszeć można tajemniczy głos.

Głos: Czasem powstaje myśl, rodzi się idea. Bywa silną i nieodpartą. Bywa słabą i kruchą. Czasem przemienia się w coś wspaniałego, co ma zmienić świat. Innym razem przynosi mrok, który już na zawsze wtopi się w kości żyjących. Gdy nadchodzi, nie masz się gdzie ukryć. Wrastasz w ziemię. Krzyczą i niszczą, a ty możesz tylko stać i patrzeć, kiedy wszystko, co znasz, przemienia się w coś nie do poznania. A ty stoisz nieruchomo, a jedynym co odróżnia

cię od tej brzoźki nieopodal, jest krew płynąca w żyłach i umysł do złamania.

Światła włączają się, ale padają tylko na stojących na scenie obu bohaterów z pierwszej sceny. Oboje stoją zwrócenii twarzami do publiczności, ich miny są obojętne, jakby nieświadome otoczenia. Na scenie pozostała tylko jedna ławka i krzesło.

Głos: Zazwyczaj idea przeciwstawia się innej idei. Sprawiedliwi walczą z innymi sprawiedliwymi. Ale nadchodzą także takie momenty i takie czasy, gdy wszystko jest jasne. Gdy kat jest katem, a obrońca obrońcą. Lecz kto o tym decyduje, jeśli nie człowiek?

Dziewczyna i chłopiec robią krok do przodu.

Głos: Popatrzcie na nich. Tylko spójrzcie. Szybki rzut oka, a będziecie wiedzieć, jakimi dziwnymi stworzeniami są ludzie. Podobne dzieciństwo, podobne wychowanie, ten sam czas, ten sam kraj, to samo miasto i ta sama szkoła... Pomyślcie tylko, jak ci dwoje mogą być tak podobni i różnić się tak bardzo?

Oboje cofają się o krok. Głos wzdycha.

Głos: Ale dość już. W końcu sami zobaczycie. Scena jest, przecież, ich.

Scena III

Światła gasną i włączają się, ona i on rozglądają się po scenie i publiczności.

Ona: Mamo? Mamo!

On: Tato! Tato?

W tle słychać syreny, huki. Panuje chaos. Światła co chwila zmieniają swoje kolory (czerwony/niebieski) i padają gdzie tylko popadnie. Dwie postacie nie ruszają się jednak z miejsc, gdzie stoją - emocje wyrażają tylko przez wyrazy twarzy.

Ona: Mamo! Czy ktoś widział moją mamę?! Proszę!

On: Był tu przed chwilą. Prawda, proszę pani? Stał tuż obok mnie.

Ona: Mam tylko ją, niech ktoś pomoże mi ją znaleźć.

On: Proszę, Boże, niech nic mu nie będzie.

Przerwa. Nagła cisza, jakbyśmy słyszeli tylko ich myśli. Światła także uspokajają się – błady niebieski padający na scenę, przynosi odsapnięcie od dotychczasowej walki barw.

Ona: Będę codziennie zmywała naczynia.

On: Co rano i wieczór będę wychodził z psem.

Ona: Będę we wszystkim pomagać.

On: Przestanę kłócić się o bzdury.

Ona: Będę...

On: Milszy...

Ona: Grzeczniejsza...

On: Odpowiedzialny...

Ona: I odtąd będę ją zawsze doceniać.

On: Będę już nawet uważał na lekcjach.

Ostatnie zdanie jest zabawnym akcentem wśród panującego niepokoju, komizmu dodaje grymas chłopaka. Potem jednak chwila ta ustępuje, panuje półmrok.

Oboje: Tylko proszę. Niech żyje.

Scena IV

Głos: Ale nadzieje często pozostają tylko pobożnymi życzeniami ludzi, niechających się pogodzić z rzeczywistością. Tylko, że ona ma dar do dogonienia nas, nieważne jak mocno zaciśniemy dłonie na uszach. Zawsze usłyszymy i zawsze zostaniemy złapani w jej nurt.

Dziewczyna klęczy, ręce ma wyciągnięte przed siebie, jakby trzymała w nich jeszcze ciało matki. Chłopak patrzy tylko w jeden punkt na podłodze, wyciąga drżąc palec i wskazuje go.

On: Leżał o tu, gdy go znalazłem.

On odwraca się gwałtownie, jakby zawstydzony łzami i własnym le-targiem.

Głos: Jak szybko rodzą się decyzje. Jak szybko umierają dawne wyobrażenia. Jak szybko dorastamy, gdy tracimy kogoś nam najbliższego. I jak różnie się po tym podnosimy. Inaczej z tym czujemy. Tak różnie witamy śmierć.

Ona: Jestem wściekła. Nie zasłużyła na to. Kochała mnie, a teraz jej nie ma.

On: Boję się. Mój tata...On... Naprawdę nie chcę umierać. Był taki nieruchomy, blady...

Ona: Miała sine palce, nawet włosy wydały mi się inne. A może to moja wyobraźnia? Może oprócz tego, że serce przestało jej bić, nic się nie zmieniła?

On: To nie ma sensu. Dlaczego ginąć w ten sposób? W imię czego? Gdyby były jakieś szanse, oczywiście, ale...

Ona: Wystrzelają nas, jak kaczki.

On: To nie do wygrania. Trzeba się dopasować. Przemilczeć, ruszyć dalej. Życ.

Ona: Chciałaby walczyć nawet teraz.

On: Chciałby, żebym żył. Ja.. Chcę żyć!

Ich głosy im więcej mówią, są bardziej zdecydowane. Chłopiec odwraca się ku scenie, jakby sam próbował wytłumaczyć się przed sobą i innymi. Dziewczyna wstaje, całkowicie pozbywa się żalu z twarzy, która przybiera wyraz nieokiełznanej wiary w coś, czego nie potrafimy zobaczyć.

Ona: Chyba pierwszy raz w życiu, czuję się tak bardzo żywa.

On: Gdy sumienie mówi: „Walcz!”, a rozum szepce: „Żyj”.

Ona: Walcz i bij się, choćby ci tchu zabrakło!

On: Życ spróbuj, krwi na darmo nie przelewaj, czekaj!

Ona: Nie czuje strachu ten, kto wie że właściwie robi!

On: Rób, jak ci mówią. Spuść głowę na chwilę.

Ona: Stań dumnie ze swą wiarą i ze swym karabinem.

On: Bądź cierpliwy, jeszcze nie wszystko stracone. Los się odmieni.

Ona: Gdy miasto w gruzach, kraj spustoszony...

On: Poczekaj przez moment.

Ona: Czasami trzeba stać się symbolem, by inny ktoś mógł budować nowe.

Ostatnie słowo dziewczyna mówi z nieodgadnioną twarzą. Chłopak jednak uśmiecha się z nadzieją i wiarą, czuje się usprawiedliwiony. Światła gasną.

Scena V

Na środku sceny stoi jeden stolik, pełniący funkcję biurka. Za nim siedzi chłopiec, już jednak nie może się nim nazywać. Po jego postawie, twarzy widać, że minęło parę lat. Ubrany w szary mundur siedzi znudzony, nieobecny, oddalony gdzieś duchem. Przybiega mężczyzna – jego podwładny.

Mężczyzna: Kapitanie, jestem gotowy sprowadzić tu tę aresztantkę. Czekam na rozkaz.

On wciąż wygląda na znudzonego z głową opartą na jednej dłoni, drugą macha do mężczyzny w potwierdzającym geście.

On: Niech wejdzie.

Mężczyzna wychodzi, po chwili wraca z kobietą. On ożywia się, gdy ją widzi. Patrzy na kobietę, niedowierzając. Dziewczyna się zmieniła – jej włosy są potargane, ubranie za luźne.

On: Zostawić mnie z nią.

Mężczyzna wychodzi, jeśli jest zmieszany, to nie okazuje tego. Dziewczyna po raz pierwszy zwraca ku niemu twarz, ma zmieszaną minę – nagle rozpoznaje go. On wstaje, obchodzi biurko, staje naprzeciwko niej. Są zwróceniu do publiczności swoimi profilami.

On: Zmieniłaś się.

Ona: Więzienie ci to robi.

Milkną, lustrują się wzrokiem. Cisza.

On: Więc dzieciak, który myślał, że jest dorosłym?

Ona: Tchórz. I zdrajca.

**Małgorzata Ogonowska (Kama) kl. 1
I Liceum Ogólnokształcące w Białymstoku
GIRLS CHAT**

Osoby:

Ema (Emila)

Roxy (Roksana)

Mara (Marika)

Kinia (Kinga)

Plac zabaw przy jednym z blokowisk. Huśtawka, wokół piaskownicy widać śmieci wysypujące się z przewróconego kosza. W tle jedna latarnia dająca słabe światło. Na środku stoi odrapana ławka. Zbliżają się do niej trzy nastolatki. Są wyzywająco ubrane. Jedna z nich – Ema – bardziej niż pozostałe. Głośno się śmieją, gestykulują. Ema pali elektronicznego papierosa. Wszystkie przez cały czas bawią się telefonami – co chwilę wyjmują, coś sprawdzają, scrollują ekran itd.

EMA:

... i normalnie ta idiotka myślała, że ja serio na nią zaczekam! Dżizas, co za cringe!

ROXY:

Ale to nie chciałaś z nią wracać?

EMA:

Jezu, Roxy, nie słuchasz?! Aśka to największa frajerka w całej szkole! Kazałam jej czekać przy szatni, to czekała. Myślisz, że dałabym się komuś zobaczyć z tą debilką? Jezu... weź...

KINIA:

Dobra, i co dalej?

EMA:

Nic. Gównu mnie to obchodzi. Jak jest taką frajerką, to niech czeka. Wszyscy mieliśmy z niej polewkę. Pewnie poszła zaryczana do domu. Do mamusi i tatusia się pożalić.

(śmieje się szyderczo)

KINIA:

No. Ale jaja, kurde.

ROXY:

Ale jej odwaliłaś numer! Szkoda, że nikt fotki nie cyknął jej wtedy.

EMA *(zaciąga się ostatni raz papierosem i chowa do torebki):*

Bazył podobno cyknął. Jutro opublikuje gdzieś. Będzie się działo. Dzwoni telefon Emy *(piosenka „Barbie girl”)*. Ema odbiera.

No, elo! W końcu. Gdzie jesteś? Albo się umawiasz, albo wypad z mojego składu. ... Co? ... Dobra, dwie minuty.

(kończy rozmowę)

Mara. Jezu, co za pipa. Już jedzie. Ojciec nie mógł jej podrzucić. Co za żałość. Nie dość, że jedna fura, to jeszcze marna. W życiu bym nie wsiadła do takiego cringowego auta. Co za wieś.

KINIA:

Tragedia. Żal mi jej. Starzy jej robią totalną wiochę, że tym jeżdżą.

EMA:

Chyba tym, że istnieją.

(wszystkie się głośno śmieją)

ROXY:

Ciiiiiii... Idzie.

MARA:

Sorry, problemy z furą. Stary już mnie wkurwia na maksa. Macie fajkę?

KINIA:

Co „macie”? Co „macie”?

EMA:

Ja się nie dzielę. Kup se elektryka. Sama dostałam od starego. Na Dzień Kobiet. *(śmieje się)*

KINIA:

Ale zazdro! Masz niezłych starych.

EMA:

Ustawiłam se, to mam.

(wszystkie głośno się śmieją)

ROXY:

Nie wiem, czy mnie starzy puszcza na ognisko do Maty w sobotę.

MARA:

Dlaczego nie?

ROXY:

Coś chrzanią o alko, fajkach i dragach.

EMA *(ze śmiechem):*

Twoi to wiedzą jak zachęcić.

KINIA:

Jezu, ale żałość. Weź nie pierdziel, tylko normalnie wyjdź. Co ci zrobią? Do szkoły nie puszcza? *(śmieje się)*

EMA:

Ale z ciebie miękka pipa, Roxy. Bierzesz klucze, zapierdzielasz papie flaszkę Absoluta z szafy, mamci – pięć dych na taxi i gazu.

MARA (*wypatrując czegoś w stronę publiczności i wskazując palcem przed siebie*):

Hej, laski, patrzcie. Czy to nie ta wypindrzona Karolina z III A?
Ema, Kinia i Roxy patrzą w wskazanym kierunku.

EMA:

Kurde, tak, to ona. Ale pinda! Normalnie przywalę jej przy najbliższej okazji.

KINIA:

Co zrobiła?

EMA (*wkurzona*):

Pieprzona kujonka! Myśli, że jest lepsza od innych. Nienawidzę suki! Chodzi odpindrzona w tych swoich białych sweterkach, adidaskach, uśmiecha się jak debilka, mamusia i tatuś odwożą do szkoły. (*przedrzeźnia*) „Cześć, Ema. Co słychać, Ema? Fajna torba, Ema”. Nie zesraj się! Dla Ciebie PANI Ema!

Ema prawie już krzyczy pod koniec. Szuka w torbie nerwowo papierosa. Zaciąga się mocno. Zapada krępująca cisza. Pozostałe dziewczyny patrzą niepewnie. Sztucznie się uśmiechają.

ROXY:

Hm, dobra, laski. Ja spadam powoli. Muszę matce jeszcze jakieś leki odebrać, czy coś. To nara. (*odchodzi*)

EMA (*czekając aż Roxy zniknie*):

Dżiz, co za pipa. Jezu, widziałyście, jak się dziś odpieprzyła? Conwersy? Rili? Gdzie ona się zaopatruje? W sklepie dla cnotek? (*śmieje się*)

MARA:

Totalna wiocha.

KINIA:

No, na maxa grubo.

EMA:

Ale będziecie na imprezie u Maty?

MARA:

Jasne.

KINIA:

Na stówę. Dżizas, no weź. Każdy będzie.

EMA:

Każdy, kto się liczy. Nie wiem, czy taką Roxy wpuszczą w tych jej conversach.

(wszystkie się śmieją)

KINIA:

Mata robi zajebiste imprezy.

MARA:

Jego starych często nie ma.

EMA:

Nie ma, bo nie wiszą mu nad głową jak twoi tobie. Facet ma luz. Jego stary z resztą pracuje w jakiejś korpo w Danii. Mają forsy jak lodu.

KINIA:

Podobno spotyka się z Klaudią Nejmar z III B.

EMA:

Weź nie pierdziel. Myślisz czemu ja idę na tę imprezę?

MARA:

Ale Klaudia też ma być...

EMA:

No i co z tego?! Zobaczycie same, bejbs. I nie zesrajcie się ze zdziwienia.

KINIA:

No weeeeeeeż.... Ty i Mata??? Ale sztos.

EMA:

Klaudii możemy najwyżej jakieś hejty odpalić.

MARA:

Dobra, laski. To ja też spadam. Kinia, idziesz w moją stronę? Skoczemy jeszcze po fajki.

KINIA:

Yesssss. Naura, Ema. Dozo u Maty. Ale będzie beka, dżiz!

EMA:

Tylko weźcie hajs w razie czego.

MARA:

No. Może. Na dwa piwa pewnie starczy...

(Kinia i Mara oddalają się. Słychać ich cichnącą rozmowę i śmiech)

Ema zostaje sama. Dzwoni telefon Emy. Patrzy na wyświetlacz. Nagle zmienia się na twarzy. Zaciska powieki.

EMA *(do siebie, po cichu):*

Kurwa...

Bierze głęboki oddech i odbiera telefon.

EMA:

Cześć mamó... Nie, nie, nie przeszkadzasz... Co byś chciała?... Aha... Dobrze, kupię... NIE! Nie wychodź z domu, nie ma potrzeby!... Kupię ci... Tak, tam gdzie zawsze... Sprzedadzą mi, nigdy nie proszą o dowód... Ile?... Nie, mamó, jedna wystarczy... Mamó, proszę... Co takiego? ... NIE, nie idź po Izę! Ja ją odbiorę... Wiem, zaraz tam pójde... Mamó... Nie, nie mogę jej odebrać później, bo zamykają przedszkole... Tak, obiecuję, że kupię, nie zapomnę... Mamó, wiesz, Iza ma niedługo choinkę w przedszkolu, proszą o składkę na zdjęcie.... Tak, na piątek... Ale... Ok, pożyczę od kolegi... Nie, w porządku, on mi pożyczycy... Kto pytał? O mnie?... NIE! Mamó! Nie zapraszaj wujka Adama! On... on jest niemiły dla Izy... Tak, płakała... Jezu, mamó! Ona ma 5 lat!!!!... Nie! Wcale nie jest zabawny! ... Co z tego? Iza nie potrzebuje prezentów... Tak, dobrze... O której wyjdzie? ... To my z Izą pójdziemy na długi spacer... Tak, damy radę... To zadzwoń, jak już pójdzie... Dobrze, dobrze, wiem, podrzucę butelkę, Iza zaczeka na klatce... Nie, nie ma sprawy, lubimy spacerować.... Tylko wezmę czapkę Izie, bo już chłodno wieczorem... Dobrze, mamó... Tak, ja też Cię kocham...

Ema rozłącza się i stoi bez ruchu ze zwieszoną głową. Po chwili znów dzwoni telefon. Ema otrząsa się z letargu, odbiera ze sztucznym uśmiechem i mówi nienaturalnie wesołym głosem:

EMA:

No heja, laska! ... Co? Nie. Właśnie wychodzę z pubu... Ale jazda! Weź nie pierdziel! Serio, tak powiedziała?...

Ema oddala się, rozmawiając, głos cichnie w oddali.

KONIEC

